PRZEKRÓJ



PRIMADONNA OPERY ŚLĄSKIEJ, WIKTORIA CALMA. PATRZ FELIETON NA STR. 16 (FOT. HANKA)

CZYTELNIK

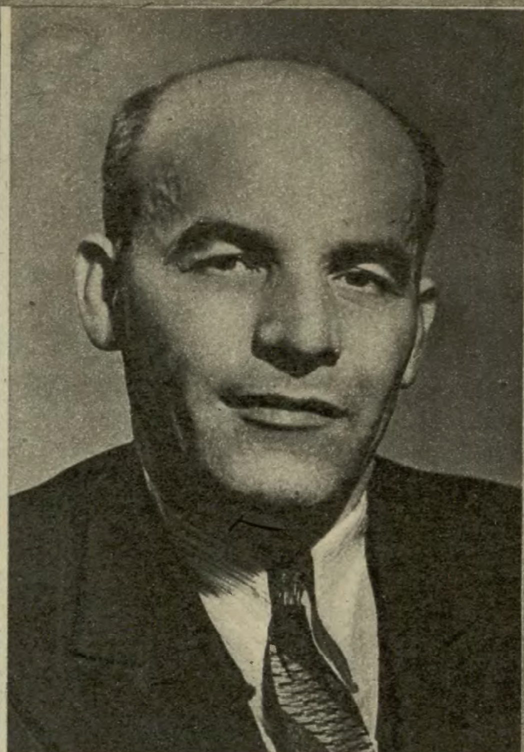
EWA SZELBURG-ZAREMBINA: Wioska dzieci
ZBIGNIEW GRABOWSKI: Wimbledon
MARIAN PODKOWIŃSKI: Bawaria semper fidelis

Nr 120
27 VII – 3 VIII 1947
CENA 25 ZŁ

© digitalizacja: mbc.malopolska.pl

PRZEKRÓJ *tygodnia*



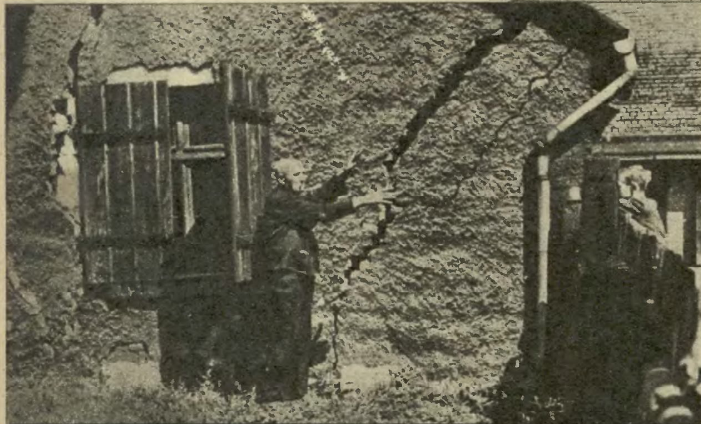


DNIA 22 LIPCA B. R. MINĘŁY TRZY LATA OD ZAŁOŻENIA FUNDAMENTÓW POD NOWĄ PAŃSTWOWOŚĆ POLSKĄ. AKT, WSKRZESZAJĄCY RZECZPOSPOLITĄ DO ŻYCIA, PRZEJDZIE DO HISTORII POD NAZWĄ MANIFESTU POLSKIEGO KOMITETU WYZWOLENIA NARODOWEGO. CZOŁOWYMI TWÓRCAMI KONCEPCJI PKWN-u, OKREŚLAJĄCEJ IDEOWY I POLITYCZNY KIERUNEK POLSKI LUDOWEJ SĄ — PREZYDENT BOLESŁAW BIERUT I WICEPREMIER WŁADYSŁAW GOMUŁKA





W drugiej połowie lipca otwarty został w Gliwicach Państwowy Instytut Przeciwrakowy. Instytut obliczony jest na 300 łóżek i posiada najlepsze niemal w Europie wyposażenie techniczne. Według statystyk amerykańskich dzięki nowym metodom terapii raka istnieje możliwość wyleczenia 94% rozpoznanych w porę nowotworów. Na zdjęciu u góry: widok ogólny Instytutu. Po prawej: dr. Święcki przy kasetce z radem.



Rabunkowa gospodarka okupanta na śląskich kopalniach wydaje dziś owoce. Zbyt głębokie podkopy powodują obsuwanie się ziemi, wskutek czego osady górnicze w okolicach Zabrza żyją od kilkunastu dni pod groźbą całkowitej zagłady. Na zdjęciu: 82-letni górnik ogląda pękniętą ścianę swego jednoizbowego domku. (Fot. Nowosielski)



W Londynie zmarł generał broni Lucjan Żeligowski, wielki patriota i żołnierz. Od pierwszych chwil kształtowania się nowego Państwa Polskiego, gen. Żeligowski niejednokrotnie, w oświadczeniach publicznych i odezwach dawał wyraz zrozumienia dla słusznych przemian dokonujących się w kraju. Nieoczekiwana śmierć nie pozwoliła Mu na powrót do Polski, co zamierzał uczynić w ciągu najbliższych tygodni. Zwłoki Generała sprowadzone zostały do Warszawy, gdzie odbył się uroczysty pogrzeb. Na zdjęciu: oficerowie wynoszą z samolotu trumnę ze zwłokami gen. Żeligowskiego. (Fot. Film Polski)



Armia Czerwona na terenach Niemiec odnalazła skarby kultury, zrabowane przez Niemców podczas okupacji ZSRR. Wśród nich znalazły się także cenne książki z bibliotek polskich. Obecnie w Moskwie odbyło się wręczenie przedstawicielstwu RP bogatych zbiorów, należących do Polski. Na zdjęciu: przedstawiciele radzieckiego ministerstwa Kultury i Polonii moskiewskiej z zainteresowaniem oglądają inkunabuły i rzadkie druki, wchodzące w skład przekazanych nam księgozbiorów.

© digitalizacja: mbc.malopolska.pl

PKWN

Większa część kraju była wtedy jeszcze pod okupacją niemiecką. Potem przyszło Powstanie Warszawskie, a potem armie polska i radziecka musiały toczyć dalsze boje z Niemcami, nim ci nie zostali ostatecznie pokonani i zanim nasze flagi nie załopotały nad Berlinem.

Tymczasem na pierwszym oswobodzonym skrawku naszej ziemi, w Chełmie, Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego wydawał Manifest do społeczeństwa, w którym to Manifeście zawarty był program odbudowy i ustroju nowej Polski, mającej powstać ze zgliszcz drugiej wojny światowej. Czas leci i już trzy lata minęły od chwili, kiedy Manifest ów został proklamowany.

Nie łatwy był pierwszy okres odbudowy naszego kraju. Wszystko było w ruinie i wszystko trzeba było odbudowywać równocześnie. Była to praca żmudna i mało efektowna. Dlatego nowy Rząd nowej Polski nie był wtedy nadmiernie psuty pochwałami. Zewsząd sypała się nań krytyka, bowiem najłatwiej jest stać na boku z założonymi rękami i krytykować kogoś ciężko pracującego. Ale Rząd nie zważał na to, zacisnął zęby i robił swoje.

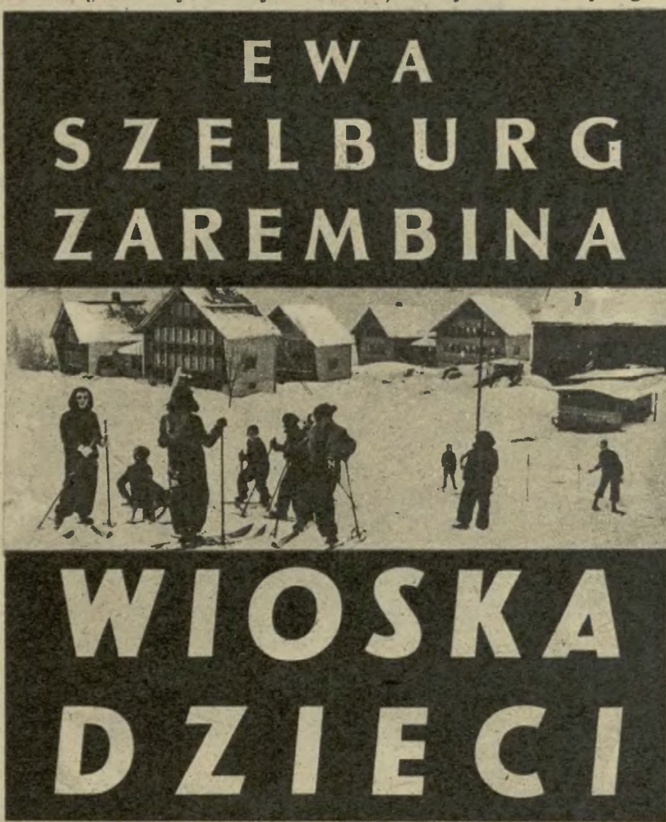
Dziś mamy już perspektywę, z której możemy ocenić tezy postawione w Manifeście Lipcowym i ich późniejszą realizację. Perspektywa ta jest jeszcze zbyt krótka, aby móc w pełni docenić ogrom pracy dokonanej , przez Rząd w tym okresie. Jest jednak wystarczająca, by zmusić uczciwych ludzi do zaprzestania krytyki poczynań rządowych.

Uprzytomnijmy sobie raz jeszcze, jak wyglądał nasz kraj po zakończeniu wojny? — Warszawa, stolica kraju, leżała w zupełnych gruzach. W takich samych niemal gruzach leżały Gdańsk, Wrocław, Szczecin i szereg innych miast Polski. Nie mieliśmy przemysłu, gdyż zniszczone były nasze fabryki i nie mogliśmy uprawiać handlu, gdyż zniszczone było kompletnie nasze kolejnictwo i unieruchomione były nasze porty. Odzyskaliśmy Ziemie Zachodnie, ale ziemie te były rumowiskiem, zamieszkałym przez Niemców.

Nie trzeba chyba pisać, o ile do dziś zmieniło się na lepsze. Wystarczy, jeśli każdy rozejrzy się dokoła siebie, by zobaczył te zmiany z dnia na dzień większe, coraz silniej umacniające Polskę w jej odrodzonym, trwałym bycie. — Wystarczy też, jeśli trzecią rocznicę Manifestu Lipcowego uczcimy tylko zwiększoną pracą, której jeszcze przez długie lata odbudowa kraju będzie od nas wymagała, i zwiększonym zaufaniem do poczynań Rządu, który na zaufanie to rzetelnie sobie zasłużył.

Resztę pozostawmy historii. Napewno ta historia zamieści kiedyś Manifest Lipcowy wśród aktów najbardziej zwrotnych i najkorzystniej decydujących o dziejach naszego kraju.

CZESŁAW KOMARNICKI



Przechodząc ulicami Zurychu, czy to będą staromiejskie uliczki ciasne, głębokie, kręte i strome, jak przesmyki w bliskich Alpach, czy pełne światła i powietrza zielone nadbrzeża Limmanu, czy śródmieścia szerokie nowoczesne arterie tętniące wzmożonym ruchem pojazdów i pieszych — którędy byś nie szedł, zawsze natkniesz się w końcu na tego człowieka.

Człowiek odziany jest długim za kolana surdutem (jaki noszono przed dwoma wiekami) i w krótkie do kolan spodnie. Nogi jego są obciągnięte grubymi pończochami i obute w płytkie trzewiki o szerokich klamrach. Na szczupłej szyi ma on zawiązaną niedbale miękką chustkę. Końce chustki spadają mu na wklęsłe piersi. Jest pochylony.

Na ciebie nie patrzy choć podchodzisz blisko — pochylił się ku dziecku i patrzy na dziecko, które ogarnął uśmiechem i ramionami, w uścisku prowadząc je z sobą.

Podszedłeś tak blisko, że w twarz mu zajrzałeś z bezwstydną, pozbawioną żarliwości ciekawością, cudzoziemiec w czasie, oddalony od tego człowieka o całe dwa wieki... Od tego człowieka, ale nie od dziecka. Dziecko, kilkuletni chłopak mizerny, z ledwie osłoniętym wychudzonym ciałem, podniósł twarz bezdomnego, głodnego sieroty, ku schylającemu się nad nim, ale wzrokiem zastygłym w spiżu godzi w ciebie. Tyś mu, nie tamten, bliski. Boś jest z czasu herodowego, z dni rzezi niewiniątek.

Człowiek w chustce na szyi, z obliczem pobrużdżonym troską, a z ufnością w oczach, znał prócz nędzy i ciemnoty, tylko — wojnę, okrutną, ale na miarę zwykłego ludzkiego okrucieństwa. Nie wiedział (gdyż nie danym mu było jak tobie, być świadkiem zbrodni ludobójstwa), że istota napozór ludzka, homo germanicus, może z morderstwa uczynić: religię i przemysł zarobkowy razem. Że te istoty mające w swym plemieniu filozofów, uczonych, poetów, muzyków, a także świętych i reformatorów, po dwu tysiącach lat cywilizacji europejskiej zaczną wyrabiać — mydło z tłuszczu ludzkiego, wyroby galanteryjne: torebki damskie, rękawiczki, abażury z ludzkiej skóry, materace i wyściółki do mebli z ludzkich włosów, pod jarzyny mączkę nawozową ze zmielonych ludzkich kości.

Nie tylko to.

Ludobójcy z zamiłowania i wyrachowania postanowiwszy wygładzić całe narody z oblicza ziemi, niszczą dzieci tych narodów, którym przeznaczyli zagładę:

Dorodne, jasnowłose, niebieskookie dzieci podbitego narodu porywane są matkom i uprowadzane przemocą do wnętrza kraju napastników, żeby tam pomnożyły liczebnie ich plemię.

Tych dzieci liczba stosunkowo niewielka była.

Inne, również porwane gwałtem, wiezione są w czas srogi mroźnej zimy pociągami nieogrzewanymi w zaplombowanych wagonach, bez pożywienia w ciągu kilku dni i kilku nocy. Nie ma z nimi rodziców. Nie ma z nimi nikogo ze starszych. Te dzieci są same. I same są wobec dojrzałego cierpienia. Sam na sam z dorosłą śmiercią.

Dziewczynki ośmio i dziesięcioletnie usiłują uspakajać i pocieszać chłopców-rówieśników. I po matczynemu trzymają one w dziecinnych objęciach kilku miesięczne niemowlęta nie będące bynajmniej ich rodzeństwem.

Tak złączone ramionkami małe trupki przymarznięte do podłogi i ławek wagonów zostają znalezione na bocznicach toru. Cudem żyjące spośród nich mogą kupować członkowie „narodu panów" po dziesięć marek sztuka. Niektóre były kupowane.

Dziecku z cokołu, dziecku o spiżowych oczach opowiadasz spojrzeniem, które jest równie ciemne... Czy powiesz o tych dzieciach z trudnowymawiającej się Zamojszczyzny i temu dobrodusznemu, naiwniejszemu niż dziecko, człowiekowi stojącemu nad poziomem ulicy rozbrzmiewającej o tej porze wesołymi głosami rozbawionych małych ucaniów, którzy nigdy z lękiem nie kryli się przed Gestapo z książkami do nauki ojczystego języka i historii ojczystej?

Uszy ma on nakłonione na te głosy radosne, gdyż radość tych głosów dziecięcych jego po części jest dziełem. Więc zapatrzył się i zasłuchał znieruchomiały, a ty wahasz się jego słuch i wzrok zwrócić na gęstniejącą w twych oczach marę kominów krematoriów, gdzie spalono tysiące zagazowanych dzieci, winnych tylko narodzenia się w narodzie znienawidzonym przez jego zabójców.

Choć będzie ci współczuł bezwiednie, nie uwierzy rozumem ten człowiek, tak nie do pojęcia dla każdego poza tobą, świadkiem, jest rzecz ta, przeciwna naturze ludzkiej — jaka bywa surowa aż do okrucieństwa, lecz nie zwyrodniała.

Więc milczysz, jak zwykli milczeć przechodnie stający przed pomnikami ludzi już nieżyjących, a czczonych dla zasług jakie położyli za życia.

Zasługi tego człowieka nie skończyły się z jego życiem. Człowiek ten działa. Świadczy o tym wielość faktów z dziedziny wychowania i nauczania. Te na razie zostawmy fachowcom — mamy bowiem niewiele czasu dziś, a on, prowadząc dziecko, jak widzisz, śpieszy się także. Chodźmy za metalicznie dźwięczącymi jego krokami, jedną z wydeptanych przez niego ścieżek.

Jesteśmy na drodze pięknie utrzymanej, osadzonej cienistymi drzewami. Przebiega przez schludne miasteczko z zamkiem na wzgórzu otoczonym rzeką.

Zamek w Burgdorf. Podziemie, w którym gnili przestępcy państwowi i miejscy, i izby w których bezdomne dzieci uczyły się moralności i współżycia oraz sztuki czytania, pisania i rachunków.

Powinieneś chyba zatrzymać się przy tym budynku, zwiedzanym zazwyczaj. To tutaj w latach 1800—4, Pestalozzi próbował z osieroconymi dziećmi swej genialnej metody. I już tutaj do ziarna zwycięstwa przymieszało się ziarno klęski.

Dlaczego? Będziesz szukał odpowiedzi na innym miejscu ziemi niezwykłego Helwety i jego dzisiejszych uczniów.

Teraz idźmy drogą dalej, za miasto. I przyśpieszmy, gdyż dzień nachyla się ku wieczorowi. A znużenie kończącego się dnia i mgła wieczorna doliny utrudnić nam mogą poruszanie się nawet na tak krótkim dystansie jak 1804 do 1946, Burgdorf—Engeldorf.

Do Kinderheimu w Engeldorf prowadzi stroma wężownica i wiele wąskich stopni ogrodowych schodów. Gdy wstępujemy po nich w mroku i rozpylonej wilgoci, szumią nad nami rozłożyste drzewa i zstępująca wcześnie noc górska. Gdy otworzyliśmy drzwi dużego domu, słyszymy szmer głosów dzieci.

Poszczególne głosy dźwięczą jednakowo, ale słowa odmiennie w mowie francuskiej i polskiej. Również odmienne są stoły przy których w jednym nieobszernym pokoju poosobno skupiły się dwie gromadki: małych Polek i małych Francuzów i Francuzek. Dzieci krajów zniszczonych wojną spędzają określony czas na leczeniu i wypoczynku w kraju niebombardowanym, niepalonym i nierabowanym.

Gwarzące między sobą po francusku, nie interesują się przybyłymi dorosłymi ludźmi, interesuje je w tej chwili: jaka zupa będzie podana na wieczerzę, do której dojrzał już ich apetyt wzmożony po grze w piłkę na łączce skropionej deszczem.

Po polsku szepczące nad kawałeczkami płótna mozolnie pokrywanymi barwnymi krzyżykami, spostrzegły przybyszów, nim próg przestąpiliśmy. Zrywają się zza stołu i na słowo: — Jak się macie, dziewczynki? — rzucają się nam na szyję ze zgodnym szlochem: — Do Warszawy! kiedy wrócimy do Warszawy?!

Tak więc zobaczyłeś, że są to dzieci warszawskie, a te mają so-

© digitalizacja: mbc.malopolska.pl

CIĄG DALSZY ZE STRONY 3-EJ

bie za obowiązek mniemać, iż najlepiej jest w ruinach Warszawy. Mniemają tak gdy pada deszcz na dworze, a w pokoju mleczne lampy dają mdłe światło. Nazajutrz, w pełnym słońcu będą śmiały się serdecznie i berneński niedźwiedź będzie dla nich stworzenie pod słońcem najbliższe.

W tej dwoistej społeczności dzieci są jeszcze, ku żadnej z tych nie przynależące, dwie parolatki. Nie wiesz ich narodowości, gdyż krążąc po wąskiej przestrzeni między dwoma stołami gęsto obsiędzionymi gadatliwym dwujęzycznym ludkiem, nie wydają ze siebie żadnego głosu, ani ta starsza, pięcioletnia, z warkoczkami, ani ta młodsza, dwuletnia, w zielonej czapeczce.

Z ręką położoną na główce maleństwa, pytasz o jej imię. Wtedy znajdująca się najbliżej was dziewczynka z Warszawy zatrzymując w powietrzu nad płótnem igłę z nitką, odpowiada nie podnosząc oczu: „Gretchen" — i stawia na płótnie nowy ścieg.

...Dwoje niemieckich dzieci spogląda przez chwilę na nią i na ciebie... A ty — nie zdejmujesz ręki, chociaż ci drgnęła tak, że dziecko w zielonej czapeczce odczuło to drżenie. Odwracasz wzrok od okrągłych, bezmyślnych oczu małej i — widzisz utkwione w siebie oczy wszystkich dzieci, od obu stołów: wiedzące, świadome. Przytrzymujesz te spojrzenia, szukając w sobie słowa. Że nie od razu możesz je znaleźć, jest chwila milczenia. I w milczenie to wpada dźwięk łopat i oskardów, huk siekier, uderzenia młotków, wrzawa młodych głosów, która towarzyszy ochoczej pracy.

W zgiełku rozróżnisz łatwo rytm. Jest to rytm spiżowych kroków człowieka, który zeszedł z cokołu i zdąża za wesołym lotem czerwonego chrząszczyka o czarnokropkowanych skrzydełkach. Tymi skrzydełeczkami malutka boża krówka uzgarniała tak dużą ilość pieniędzy do ofiarnych skarbonek kwestarzy szwajcarskiej organizacji „Pro juventute", że kupno ziemi pod Wioskę Dziecięcą dla dzieci państw zniszczonych przez wojnę, stało się możliwe. Człowiek z pomnika przystanął w owej chwili w okolicy St. Garlen, w wiosce Trogen. Był rok 1945.

Ludzie dobrej woli, gdyż tak nazwać trzeba naśladowców dziewiętnastowiecznego wielkiego wychowawcy i nauczyciela Henryka Pestalozziego, okazali dużo gorliwości. Szczególnie przyłożyła się do tego humanitarnego dzieła młodzież akademicka i młodzież szkolna szwajcarska dając pracę swych rąk.

Może dlatego drewniane domki Kinderdorf Pestalozzi w Trogen takie są wesołe, że ściany ich składały i dopasowywały młode ręce, a śpiew i śmiechy towarzyszyły ich powstawaniu.

Nie szła jednak ta praca jak z płatka. W roku 1946 w wiosce stało dopiero sześć gotowych domków. Zaraz zamieszkali w nich pierwsi mali mieszkańcy: dzieci francuskie i polskie. Tych połowa przybyła z ruin Warszawy. A druga połowa — to dzieci przez Niemców zabrane i teraz powrócone Polsce z Meranu.

Tutaj w swojej Wiosce Dziecięcej mają odnaleźć beztroskie, spokojne dzieciństwo, dom i rodzinę, wykształcić się w zawodzie, zyskać drugą ojczyznę nie tracąc pierwszej. O to wszystko pieczołować się będzie Międzynarodowa Liga Nowego Wychowania.

Człowiek, który do tego miejsca nas doprowadził, uśmiecha się. Jest dobrej myśli. Jego wzrok z okolicznych gór przenosi się na sztandar powiewający odświętnie na maszcie pośrodku wioski jego imienia, zatrzymuje się na kilkudziesięciorgu dzieciach, które podzielone na kilkunastoosobowe rodziny w osobnych domkach z wychowawczynią — matką, z wychowawcą — ojcem, z kucharzem — dziadkiem, z ciociami i wujami — wykładowcami rosną, bawią się, uczą — zapominając o wojnie i jej zbrodniach.



Suzanne — mała Francuzka, sierota wojenna, wychowuje się między dziesiątkami innych sierot, w Trogen, w Wiosce im. Pestalozziego

Poszczególne grupy dzieci uczą się w swym ojczystym języku. Kiedy wrócą do kraju, będą mogły kontynuować bez trudu naukę rozpoczętą na ziemi szwajcarskiej

Domki dla dzieci w Trogen budowali studenci szwajcarscy — ochotnicy, którzy pracą swą chcieli przyczynić się do powstania wielkiego wielojęzycznego sierocińca

Podczas chwil wolnych od nauki mieszkańcy Wioski łączą się w międzynarodowym braterstwie zabawy, obejmującym tam sieroty wszystkich zniszczonych wojną krajów

Dając dzieciom zapomnienie o wojnie, jak przygotowuje się je do pokoju?

Usiłowania wychowania nowego człowieka przez uczenie dzieci różnych narodów spółżycia rodzinnego niemal — w oderwaniu jednak od realnego, określonego społeczeństwa, jak w inkubatorze, ciekawe jest jako jeszcze jedna próba podjęta przez kontynuatorów Pestalozziego, patrona ludzi dobrej woli, na pewno wstrząśniętych do głębi sumień wojną i przerażonych jej skutkami, ale nie mających dość odwagi, żeby stwierdzić, jakiego układu sił była ona wynikiem, i — wyciągnąć bezkompromisowe wnioski.

Gdy już jednak tworzy się tylko Wioskę Dziecięcą — należałoby chyba na tym odcinku — eksperymencie zająć się przemyśleniem doboru mieszkańców tej wioski mających stanowić niejako kadrę wzorowej ludzkości. O ile wiem grupka np. dzieci polskich wysłana z kraju w liczbie szesnaściorga (aby rozpiętość wieku dawała złudzenie rodzeństwa) z powodu pośpiechu w jakim odbywała się wysyłka, dobrana została raczej przypadkowo z Pogotowia Opiekuńczego. Równie przypadkowy jest skład drugiej szesnastki z Meranu. Myślę iż tak samo było ze wszystkimi dziećmi jakie zajęły domki narodów w szwajcarskiej miejscowości pod St. Gallen.

A doświadczenie jest, bądź co bądź, jedyne w swym rodzaju.

Zainteresowanie Kinderdorf Pestalozzi wzrasta. Do Trogen zaczynają ściągać tłumy ciekawskich jak do swoistego ludzkiego ogrodu botanicznego czy zoologicznego. W kraju tak spokojnym jak Szwajcaria stanowi to przecież sensację, sensację na dobrym poziomie, a zarazem jest ulgą sumieniu i zamanifestowaniem raz jeszcze dobrego serca.

Uratować od zagłady, zwrócić społeczeństwu, obdarować radością nawet tak znikomą garstkę spośród sierot wojennych — jest to wiele.

Ale gdy patrzysz na imponujące ci nawet w tym rozmiarze jedyne takie międzynarodowe osiedle dzieci, myślisz, że szlachetne w swej bezpośredniości hasło: „miłuj bliźniego swego, jak siebie samego", a którym niewątpliwie będą oddychać dzieci pijące mleko z jednakowych kubków i łamiące jednakowy chleb w domkach różnych swych narodów, jest to niewątpliwie również — za mało.

Wychowankowie mający żyć w swej wiosce do lat siedemnastu*) przez tych lat kilkanaście będą stykać się ze sobą poza swoimi małymi domkami — ojczyznami na „międzynarodowym terenie" Dziecięcej Wioski w sporcie, podczas wspólnych imprez artystycznych, w jakichś zespołowych pracach powziętych dla dobra całego ośrodka. A motorem tego — ideał szlachetnego człowieka. Bliżej raczej nieokreślony. Pozytywny — gdy niezaatakowany.

Jakie rezultaty daje ten ideał w twardym zetknięciu się z dramatyczną rzeczywistością walki, rzeczywistością klęski lub zwycięstwa, wiemy z nieostygłego jeszcze doświadczenia.

Strzeżmy się być w defenzywie tylko, gdy żyjemy w walce. A w walce będziemy żyć długo jeszcze, gdyż dla nas słowo: pokój, jedno ma znaczenie: zwycięstwo. Zwycięstwo bez kompromisu. Nad faszyzmem.

Człowiek na cokole pomnika, który prowadzi za rączkę dziecko, nie znał tego pojęcia, ale dziś znają je dzieci w krajach zdeptanych wojną.

Jest noc gwiazdzista nad przeglądającym się w gwiaździstych wodach Zurychem. I jest pustka nocy wkoło pomnika. Człowiek na pomniku drobny jest w otaczającej go nocy. Przerosło go towarzyszące mu dziecko. To ono ujęło mocno jego starczą rękę i prowadzi go ze sobą w gromadę takich jak ono, dzieci, które już nie są wychowankami zakładów dobroczynnych ani pospólstwem mniej lub więcej umiejętnie wypełniającym obowiązki swego „niskiego stanu", ale świadomą swej wartości dla nowego ustroju świata — MŁODĄ SPOŁECZNOŚCIĄ.

*) Ostatnio doszła mnie wiadomość, iż te z dzieci, które ukończyły czternaście lat mają być oddane bez względu na ich zdolności i zamiłowanie do szkół rzemieślniczych, ponieważ twórcy Wioski im. Pestalozziego uważają, iż zbyt kosztowne byłoby kształcenie tych dzieci w szkole średniej ogólnokształcącej. Czy słuszne jest przesądzanie losu tych osieroconych dzieci już w wieku lat czternastu? Kto właściwie odpowiada za przyszłość tych trzydziestu dwojga Polaków, tak oględnie dobroczynni Szwajcarzy, czy my tu w kraju?

EWA SZELBURG-ZAREMBINA



Naokoło świata

„...ALBO BARDZO ŹLE...“

Stany Zjednoczone weszły na dziwną drogę. Z jednej strony deklamuje się tam bezustannie o „prawdziwej demokracji“ i konieczności wprowadzenia jej na całym świecie i o tym, że nie należy dopuścić do odrodzenia się hitleryzmu w Niemczech, a z drugiej? — Z drugiej strony Kongres USA uchwalił drakońską ustawę ograniczającą prawa socjalne robotników na rzecz właścicieli wielkich przedsiębiorstw. Równocześnie prześladowani są otwarcie, usuwani z posad i aresztowani ludzie o lewicowych przekonaniach. Równocześnie coraz jawniejszym poparciem cieszy się w USA organizacja „Czerwonej Błyskawicy“, jedna z ekspozytur Ku-Klux-Klanu. Popularne nowojorskie bale murzyńskie, odwiedzane dotychczas tylko przez zwolenników jazzu i boogie-woogie, od jakiegoś czasu nawiedzane są przez bojówki „Czerwonej Błyskawicy“, które postawiły sobie za cel uwolnienie Stanów od murzynów i utworzenie państwa „jednolitego rasowo“, pod jednolitą „polityczną kontrolą“. Dziwnie łagodna policja ogranicza się do rozpędzania tu i ówdzie bojówkarzy przy pomocy gazów łzawiących. — Znamy to wszystko, znamy! Pamiętamy naszywki w formie „błyskawic“ na rękawach mundurów. Nie zapomnieliśmy o milionach ludzi, którzy zginęli w walce z rasistowskimi hasłami. W związku ze wspomnianymi balami możemy Amerykanom przytoczyć tylko tekst znanego ongiś tanga „Bo to się zawsze tak zaczyna! — ...ale kończy się, albo bardzo dobrze, albo — bardzo źle“.



DZIWACTWA CZYLI TEMATY NA KANIKUŁĘ



W Paryżu obradowali, czy może jeszcze obradują delegaci państw, pragnących pomocy amerykańskiej według planu Marshalla, która to „pomoc“ ma na celu ubezwłasnowolnienie gospodarcze Europy. Pewnego dnia do gmachu francuskiego MSZ przy Quai d'Orsay, gdzie toczą się obrady, usiłował dostać się pewien astrolog, który chciał postawić debatującym mężom stanu horoskopy. Nie został jednak wpuszczony, a szkoda! — Może zdołałby wytłumaczyć tym politykom, że Konstelacja Byka jest niebezpieczna dla naiwnych urodzonych pod znakiem Konstelacji Niemowląt i że dobrze jest, w każdym razie mieć na względzie Konstelację Wagi



W Londynie, w łodziach na Tamizie, odbył się pojedynek dwóch gentlemenów ubranych w wiktoriańskie cylindry, którzy strzelali do siebie ze starych rusznic... kartkami żywnościowymi. Miała to być dość swoiście pojęta demonstracja przeciwko systemowi kartkowemu do dziś obowiązującemu w Anglii i utrudniającemu ludziom życie. Równie swoista była reakcja na to policji, która ukarała pojedynkowiczów grzywną za... marnowanie papieru. Takimi żartami zubożałe po wojnie społeczeństwo angielskie usiłuje osłodzić sobie ciężki kryzys gospodarczy, z którym walczy — trzeba to przyznać — z dużą ofiarnością i zaparciem się siebie



Ostatnią zdobyczą chirurgii są transplantacje oczu, które polegają na tym, że w oczodoły niewidomych transplantuje się gałki oczne widzących ludzi żywych, lub umarłych — natychmiast po śmierci, póki tkanka nie obumarła. W związku z powyższym znana włoska gwiazda filmowa, Iza Miranda, ofiarowała włoskiemu Instytutowi Okulistycznemu swe oczy z tym, że będą mogły być wyjęte w dwie minuty po jej zgonie. Iza Miranda jest starzejącą się gwiazdą i — jak twierdzą złośliwi — ofiarowała oczy nie tyle powodowana humanitaryzmem, ile chęcią zwrócenia na nie jeszcze raz uwagi p. t. publiczności kinowej. (Wszystkie zdjęcia: SAP i Collier's)

© digitalizacja: mbc.malopolska.pl

MARIAN PODKOWIŃSKI

BAWARIA SEMPER FIDELIS...

Monachium w lipcu 1947

MAŁŻEŃSWA bawarskich brunetek z osobnikami o jasnych włosach (tj. z Prusakami), to „Rassenschande" — oświadczył niedawno w Monachium jeden z bawarskich ministrów. „Ci zwyrodnialcy z północy nie będą psuli czystej krwi bawarskiej — wołał na wiecu bawarski minister sprawiedliwości — nasze kobiety powinny znaleźć ochronę przed natarczywością pruskich przybłędów."

W Monachium, Norymberdze czy Neustadt nie ma bardziej nieszczęśliwych mieszkańców od dawnych berlińczyków, brandenburgczyków czy magdeburgczyków, których nikt nie chce ani zameldować, ani nakarmić. W walce z Prusakami Bawarczycy zastosowali metody hitlerowskie w czystej formie.

Bawaria, kraj bajecznie kolorowych domków i otyłych kobiet o nieprzeciętnie grubych łydkach, odznacza się bowiem metafizycznym przywiązaniem do Hitlera.

Nie żeby specjalnie delektowali się samą partią hitlerowską, albo jej programem, ale żywią wdzięczność dla człowieka, który rozsławił ich miasto stołeczne na cały świat, jak ów legendarny fakir z Ipi, o którym Anglicy powiadają, że był jeszcze większym szaleńcem od Hitlera. Nie będąc hitlerowcami z programu, pozostali nimi piwosze bawarscy z ducha. Sami Niemcy nazywają ich twierdzą wstecznictwa, matecznikiem reakcji, siedliskiem najbardziej ograniczonego kołtuna, dla którego porcelanowa fajka, kapelusz z piórkiem i skórzane shorty — to pacta conventa niezależności politycznej.

Bawarczycy uważają się nie od dziś zresztą za sól ziemi niemieckiej. W dzisiejszej konstelacji politycznej starają się grać pierwsze skrzypce w kwartecie alianckim, wynosząc się niczym paw ponad inne kraje niemieckie. Nie Prusy dziś, ale właśnie Bawaria wzięła na siebie przodownictwo w państwie niemieckim. Stary spór między Prusakami i Bawarami, dawne antagonizmy dzielnicowe i religijne odżyły z całą siłą po wojnie. Rozgromione Prusy łatwe były do likwidacji. Bawarowie skorzystali z okazji i rozpoczęli walkę nawet z pruskimi uchodźcami, których los i polityka Hitlera rzuciły w objęcia bawarskiego lwa. Bawarska nienawiść do Prusaków (których uważa się wszędzie zresztą w Niemczech za cudzoziemców) jest znana od dawna.

Po ataku na „małżeństwa mieszane" (urząd cywilny zarejestrował już wiele wypadków t. zw. „mischlingów"), Bawarczycy wzięli się do ataku na prasę. Wszyscy bowiem wiedzą, że monachijska prasa obsadzona jest albo przez Prusaków, albo przez „radykałów", o których dr Fischbacher, dyrektor związku bawarskich chłopów wyraził się publicznie, że „to jedna hołota". Herr Fischbacher jest przywódcą ruchu neobawarskiego. Żąda on dla Prusaków zakazu noszenia bawarskich spodni skórzanych i pierwszy wprowadził termin „niebawarski" (jak dawniej „niearyjski"). „Musimy oczyścić naszą prasę z elementów niebawarskich — wołał niedawno w piwiarni na placu Ruprechta w Monachium — domagam się wysłania wszystkich Prusaków na Sybir. Pamiętajcie, że Prusak pozostanie Prusakiem aż do śmierci!"

Na zebraniu w Rosenheim, gdzie miał przemawiać dr Fischbacher, zjechało się mnóstwo aut, kolas, bryczek i karet, aby złożyć nowemu Bauernfuehrerowi t. zw. „Treuebekentniss". „Prusacy są mi — delikatnie mówiąc — niesympatyczni — rozpoczął swą filipikę nowy wódz chłopów bawarskich — a pod adresem wszystkich tych, którzy dotąd jeszcze mają odwagę u nas rządzić, wołam na cały nasz kraj: „Raus aus Bayern!..." Ostrzegam was przed pruskim niebezpieczeństwem. Bawaria nie może stać się miejscem drugiej tragedii hitlerowskiej — krzyczał Fischbacher, zapominając, że właśnie stąd poszła brunatna zaraza na całe Niemcy i świat.

Wiec zakończył się okrzykiem „Sieg..." („Heil" dodali niektórzy z przyzwyczajenia).



Butność nie tylko Bawarów opiera się w Niemczech na litości okazywanej coraz jawniej Niemcom przez Anglosasów. W tygodniku angielskim „Picture Post" (Nr. 9) ukazał się dziewięciostronicowy artykuł „Europa nie może patrzeć spokojnie na takie Niemcy". Dowodem skrajnej nędzy Niemców ma być powyższe zdjęcie pokoju, w którym „musi razem mieszkać aż 8-ro tych nieszczęśników". W Warszawie 90% ludności mieszka w podobnych warunkach i jakoś na Zachodzie nikt się nad nami specjalnie nie lituje



Objawom litości towarzyszą objawy bratania się Anglosasów z Niemcami. Najmodniejszym miejscem wypoczynku anglosaskich urzędników i wojskowych w Bawarii, jest Chiemsee. Również do mody należy przebieranie się tam Anglików i Amerykanów w stroje bawarskie. Zdjęcie takiej właśnie „braterskiej" maskarady zamieścił z zadowoleniem wychodzący w Pfungstadt, w języku angielskim tygodnik „Weekend", z dnia 29 czerwca b. r.

Nie znaczy to wcale, że Bawarczycy nienawidzą tylko Prusaków. Nienawidzą wszystkich, z wyjątkiem swoich „bajuwarów". Antysemityzm odżył tu z niebywałym rozmachem. Studenci rozdają antyżydowskie ulotki, bezczeszczą odnowione cmentarze, piszą kredą na parkanach stare hasła. Oto np. scenka przed kinem, gdzie właśnie wyświetlają film pt. „Ostatnia szansa". Dwóch młodych ludzi dzieli się właśnie wrażeniami z filmu.

— A widzisz, kilku Żydów jednak się uratowało. Nie zagazowano ich na czas...

— Nic straconego. Następnym razem zrobimy to bardziej dokładnie...

Ci sami napewno ludzie na placu nazwanym „OdF" (Opfer des Faschismus) zdjęli tablicę, zamieniając na inną z napisem „Platz Opfer der Demokratie". Nikt oczywiście nie protestował — nawet policjant — mimo że młodzi ludzie dokonali tej operacji na oczach tłumu przechodniów. Rozdawali jeszcze potem stare ulotki hitlerowskie, drukowane anno 1926 w „Franz Eher-Verlag" w Monachium. Bawarczycy konserwują swój nacjonalizm, na Landtagach zaś stanowczo odżegnywują się od hitleryzmu (wśród złośliwych uśmieszków panów posłów!). A mimo to, napisy w rodzaju „Juda Verrecke" lub „Wir kommen wieder" nie należą do rzadkości ani na murach uniwersyteckich, ani szkolnych.

Obserwując natężenie ruchu nacjonalistycznego w Bawarii, trudno nie przyznać słuszności owej anegdotce z berlińskiego dziennika „Der Kurier". Na pytanie czytelnika w bawarskiej gazecie z dnia 5 maja 1947 roku, do redaktora działu „Czy wiesz kto to jest?"

— Kim był Hitler i Mussolini?

Odpowiedź redaktora brzmiała:

— Byli prekursorami faszyzmu.

Utarło się już w Niemczech powiedzenie, że każdy kraj ma taką denazyfikację na jaką zasługuje. O czystce politycznej w Bawarii krążą już nie dowcipy, ale legendy. Bawaria ma zresztą już trzeciego ministra denacyfikacji. Narazie ministrowie odchodzą, a hitlerowcy zostają. Pisać jednak o tych rzeczach nie wolno. Bo gdy ostatniemu pogromcy nazizmu zarzucono nieudolność (delikatnie mówiąc), ten wściekł się okrutnie. Dr Alfred Loritz, którego nazwano „Alfredem Chytrym", ponieważ postępuje zgodnie z zasadą wszystkich karierowiczów — Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek — oświadczył, że „wszechwładza prasy musi być bezwzględnie złamana".

Dlaczego?

Ponieważ kilka odważniejszych pism zarzuciło mu, że norymberczyka Hansa Fritsche trzyma w pensjonacie zamiast w obozie, że cacka się z Papenem, że toleruje wyjazdy na urlop „zasłużonych" hitlerowców, że pozwala na zabawy i bachanalie w obozach dla internowanych SS i SD, że w jego własnym resorcie jest mnóstwo dawnych nazi na odpowiedzialnych stanowiskach, że policja bawarska rekrutuje się spośród dołów Kripo i dawnej Schupo itd. itd. Niezgorszy wianuszek oskarżeń.

A na to oświadczył Loritz w parlamencie bawarskim:

— Panom z prasy mogę tylko powiedzieć, że wasze kłamstwa zgniotą was!

Bawaria wraca do swych dawnych tradycji. Wprowadza karę chłosty w szkole (pomysł ministra oświaty dra Hundshammera), popiera teorię rasową, knebluje usta prasie, domaga się nowej granicy z Austrią (znów „Lebensraum"), prześladuje protestantów, Żydów i „liberałów", spiskuje przy piwie, słowem — Trzecia Rzesza w wydaniu kieszonkowym.

Wszystkie te na pozór niewinne igraszki polityków bawarskich, z których nieraz śmieją się po klubach oficerowie alianccy, stają się dla bacznego obserwatora symptomem jednej prawdy: że Bawaria stała się rezerwatem brunatnego wstecznictwa.

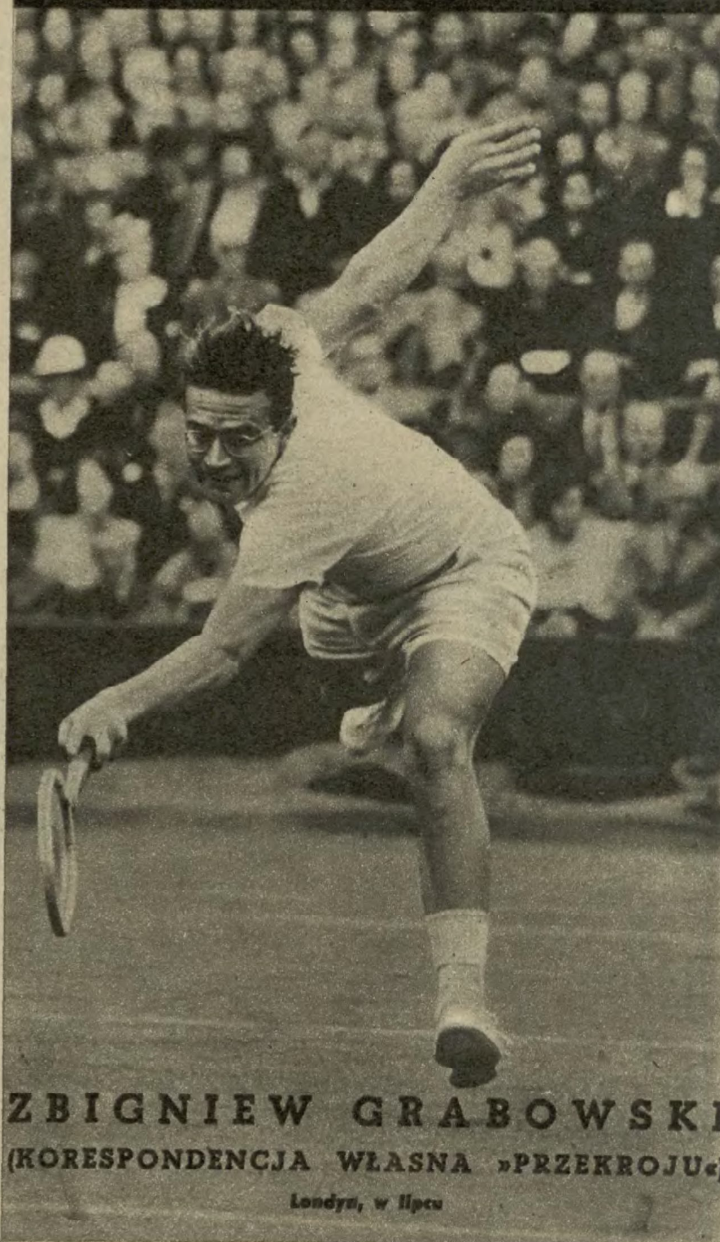
Niedaleka jest wcale droga do zdzierania demokratycznych proklamacji na murach uniwersyteckich w Erlangen, do palenia książek w Lustgartenie berlińskim. Bawaria, ulubiony kraj „wodza", pozostał nadal żywym muzeum tych wszystkich okropności, które wymyślił chory umysł szaleńca z Braunau.

MARIAN PODKOWIŃSKI

© digitalizacja: mbc.malopolska.pl

WIMBLEDON

POD ZNAKIEM PAŃ



ZBIGNIEW GRABOWSKI

(KORESPONDENCJA WŁASNA »PRZEKROJU«)

Londyn, w lipcu

Jeden z faworytów Wimbledonu, znakomity tenisista czeski Jaroslav Drobny

Miałem znajomego, który przyjeżdżał co roku z kontynentu do Wimbledonu — na wakacje. Uważał, że atmosfera Wimbledonu doskonale nadaje się do wypoczynku, pomimo sportowych emocyj i napięcia. Wydaje mi się, że pomysł ten nie był wcale zły.

Albowiem Wimbledon jest osobliwym świętem sportowym: nie ma w nim nadmiaru pośpiechu, zdenerwowania. niezdrowego przejęcia. Turniej ten dalej stoi pod znakiem przekonania, że sport jest przede wszystkim przejawem nadmiaru i radości życia, że dobrze jest go uprawiać i miło jest nań patrzeć, ale zawzięta emulacja sportowa, odbywająca się kosztem zdrowia i nerwów nie jest wskazana i że uprawianie sportu według prawideł „drillu“ i militarystycznych przepisów w czym tak się kochano w Niemczech — jest zaprzeczeniem samej idei sportu. Stadion w Wimbledonie nie przypomina w niczym tych kamiennych kolosów i tej kamiennej dyscypliny, jaka przygniatała na Olimpiadzie w Berlinie w 1936 r. Centre Court w Wimbledonie obrośnięty jest winem i tradycją; i Centre Court i korty boczne — jest ich około 15-tu — połyskują dorodną tłustą jakby trawą. W Wimbledonie gra się dalej na trawie, albowiem taka jest tradycja gry (zwie się ona dalej jeszcze lawn tennis, a więc tennis na trawniku). Sama zieleń tego boiska działa jakoś uspokajająco: kort twardy, czerwień piasku sugeruje obraz walki, zaciętości, pasji. Wimbledon jest zielony i prawie zawsze cieszy się pogodą: nie pamiętam jeszcze dżdżystego turnieju — okres od 24 czerwca do 5 lipca jest jakimś cudem prawie zawsze pogodny i słoneczny. Wimbledon ma szczęście do słońca.

Turniej wimbledoński jest dalej jakimś gigantycznym piknikiem na wsi: jest to tak jakby 15.000 osób zaproszono w gości do olbrzymiej posiadłości wiejskiej, jakby dano im jeść i pić pod namiotami i na trawie — (w Wimbledonie setki ludzi biwakuje na trawniku tzw. tea-lawn) — i poproszono o przypatrywanie się zawodom. Wimbledon jest dalej organizowany z całym czarem braku formalności, jakby od niechcenia, jakby przypadkowo. Planowanie, zbyt sztywne formy nie odpowiadają talentowi brytyjskiemu. Niemiecka „hiper-organizacja“ jest obca umysłowości angielskiej jak i niemieckie chwalenie się zdolnościami organizacyjnymi.

Wimbledon nie jest „planowany“ ani „organizowany“. Ot, jakoś się robi — siłą tradycji, przywiązania mas do sportu, do odpoczynku, do pięknego widowiska. I gracze, którzy ścierają się na kortach Wimbledonu przesiąkają atmosferą szlachetnego współzawodnictwa, uśmiechają się, stają się grzeczni, tracą swoje kanty, swoją zaciekłość. Rozumieją, że są przecież w życiu ważniejsze rzeczy aniżeli wygrać za wszelką cenę i na wszelki sposób. Uczą się także na kortach zielonego Wimbledonu wielkiej sztuki: przegrywania z wdziękiem, przegrywania z uśmiechem, w przekonaniu, że przeciwnik był jednak lepszy.

W tym roku oglądaliśmy w Wimbledonie prawdziwą inwazję amerykańskich talentów. Przygniatająca przewaga Amerykanów i Amerykanek nie była żadną niespodzianką dla tych co śledzili koleje tenisu światowego. Od czasu gdy tenis angielski utracił prowadzenie — po odejściu takich talentów jak Perry czy Austin — a wielkie nazwiska Francji porosły wiekiem (Lacoste, Brugnon, najpóźniej Borotra, który do niedawna jeszcze wykazywał młodzieńczy wigor), Nowy Świat coraz wyraźniej zyskiwał na terenie. Australia wyhodowała talenty takie jak Crawford, potem Bromwich (mając lat 19 był on drugą rakietą świata; w tym roku, mając bliżej 30-tki był jeszcze rozstawiony ale przegrał już w 4-ej rundzie); USA wyrzuciły cały legion wielkich talentów, z których sporo wykształcił mistrz Tilden. Urodzaj na zawodników i zawodniczki jest dalej w Stanach niebywały: nie jest dziełem przypadku, że dwaj finaliści tegorocznego Wimbledonu — Tom Brown i J. Kramer — pochodzą z Kalifornii i że wyrośli na słońcu i na owocach (najlepszych na świecie) tego kraju. W Kalifornii można grać w tenisa cały okrągły rok: utrzymanie zatem formy nie jest rzeczą trudną.

Ameryka wygrała w tym roku i sądzić należy, że wygrywać będzie przez długie jeszcze lata, zanim w Europie nie narodzą się nowe talenty, które można będzie odpowiednio — odżywiać. Amerykanki bowiem i Amerykanie uderzają w zestawieniu z graczami Europy znakomitą formą fizyczną, opaleniem, siłą. Niedożywiona Europa nie potrafi dzisiaj wyhodować takich graczy.

Zeszłoroczny mistrz Wimbledonu Petra był cieniem samego siebie w tym roku: o ile w roku ubiegłym pokazał on bogatą w rejestr uderzeń grę, szybkość startu, morderczy serwis w stylu tzw. cannon ball service (piłki armatnie), w tym roku ruszał się słabo do piłki, miał średniej siły serwis, lichy plan gry. Jego gra nie miała w sobie ani zaczepności ani cech wytrzymałości. Drobny, który w roku ubiegłym pokonał Kramera — przy czym Kramer zapewniał, że zwycięstwo Czecha nie było dziełem przypadku, ale lepszej gry — w tym roku nie był już taki groźny: serwis jego był dalej morderczy, jeżeli wyszedł, ale tych piłek było mniej niż w zeszłym roku. Drugi serwis Drobnego nadal był może najsilniejszy w turnieju, ale start do piłki był gorszy, smashe słabsze, ciąg na siatkę mniej ryzykancki. Toteż Budge Patty, (USA), rewelacja tegorocznego turnieju nie miał wielkich trudności w pobiciu Czecha; nie zapominajmy, że Patty, chłopak lat 23-ch, rosły, urodziwy, górował nad Drobnym młodością. Jest to dzisiaj atut niemal decydujący: tylko młode serce może znieść tempo nowoczesnej gry, tylko refleks młodych nerwów, oka i ciała może podołać tempu. Wydaje się, że w nowoczesnym tenisie — tak jak w lotnictwie myśliwskim — można uzyskać wyniki do 30-go roku życia. Potem już ma się małe szanse na mistrza. Tom Brown, który pokonał Patty'ego ma lat 23, Kramer, który pokonał Browna — 25.

Tenis europejski nie miał w tym roku wiele do pokazywania: zawiódł także doskonały w roku poprzednim Szwed Bergelin, który był zdecydowanie słabszy podobnie jak Belg Washer, Holender Van Swol, znany w Warszawie Mottram i Francuz Pelizza. Zawiedli gracze angielscy: jeden z Pucharu Davisa, doszedł do finału, ale w oparciu o lepszego od siebie Australijczyka Sidwella; para ta nie pokazała jednak wiele w finale double'a i przegrała w trzech setach do morderczego wprost zespołu Kramer—Falkenburg.

Jedynymi graczami, którzy opierali się najdłużej amerykańskiej supremacji byli Australijczycy (Geoffrey Brown, Pails, Bromwich, Long) ale i oni przegrali i to bynajmniej nie w pięciu setach ale przeważnie w trzech czy czterech. Nawet tacy zawodnicy jak Falkenburg — którzy są na końcu pierwszej 10-ki USA — potrafili się uporać z najlepszymi rakietami Australii. Triumf amerykański był całkowity: nie tylko bowiem finał gry pojedynczej panów był sprawą wewnętrzną USA (T. Brown—Kramer), ale również single pań (Hart—Osborne) i double pań (Osborne—Brough przeciwko Hart—Todd) były sporem amerykańskim. W grze podwójnej panów Kramer—Falkenburg wyrwali jedyną szansę parze imperialnej Mottram—Sidwell. Tylko w grze mieszanej Australijczycy potrafili zapewnić sobie prymat. Nowy Świat całkowicie wygrał Wimbledon, majoryzując go jak sam zechciał.

Pomimo tego trudno powiedzieć, ażeby tegoroczny mistrz Kramer był jeszcze wielkim graczem w tym stylu co ongiś Tilden, Cochet, Borotra, Riggs, Crawford, Lacoste; brakuje mu bowiem tej osobowości, tej **personality,** która stanowiła o wielkości tamtych graczy. Kramer gra świetnie, jego **cannon ball service** jest straszliwy, precyzja jego plasowania niebywała, skoncentrowana siła jego drive'u z **forehandu** i **backhandu** nieludzka (przy czym piłki jego idą tuż nad siatką, często muskając ją). Wielu widzów turnieju powiedziało o grze Kramera, że gra on „jak robot“. Jest w tym sporo słuszności. Gra Kramera jest bezoosobowa, nie ożywiona pasją, czy chociażby — błędami, pomyłkami. Nie ma on ujmującej osobowości, jego ruchy i twarz są obojętne, kamienne.

Gra panów nie zrobiła ani w części tych postępów co gra pań. Stała się ona bowiem tylko silniejsza, szybsza — poczynając od

DOKOŃCZENIE NA STR. 8-EJ

DALSZY CIĄG ZE STRONY 7-EJ

serwisu. Natomiast gra pań została całkowicie przez Amerykanki odmieniona. Dokonały się w tym względzie zmiany rewelacyjne i rewolucyjne. Zawodniczki takie jak Osborne Hart, Brough i Todd grają jak mężczyźni — chodzą do siatki, plasują ostro, serwują z mocą, smashują. Tempo ich gry jest tak zaskakujące, że gra takiej weteranki jak Madame Mathieu wydaje się wprost archaiczna; co więcej, nawet Jędrzejowska wydaje się w swej grze wczorajsza. I nic w tym dziwnego: Amerykanki to młode, zadzierżyste dziewczęta, o niebywale szybkiej reakcji, biegające po korcie z lekkością tanecznicy. W tenisie kobiecym po 30-ce nie można już uzyskiwać wyników.

I dlatego Wimbledon 1947 przyniósł największe emocje nie w grze panów — finał single'a był mocno nieciekawy przy olbrzymiej przewadze Kramera i niemrawej grze speszonego Browna — ale w spotkaniach pań. Finał Miss Osborne—Miss Hart był lepiej, ciekawiej grany niż mecz panów. A wszystko to przeszedł fantastyczny wprost mecz double'a pań Hart—Todd przeciwko Osborne—Brough, kiedy to najlepsza para kobieca USA przegrała w trzech setach do zawziętego zespołu Todd—Hart. Wygrać spotkanie, w którym przeciwniczki mają za sobą zdobyty pierwszy set, przegrany drugi i stan 5:3 oraz 40:0 w trzecim, decydującym secie (przy swoim serwisie) to sztuka nie lada. Hart dokazała tej sztuki dzięki swojemu hartowi — nie zapominajmy, że mając lat 9 skazana była przez lekarzy na dożywotnie kalectwo, gdyż padła ofiarą paraliżu dziecięcego — ale Mrs. Todd, filmowa piękność Wimbledonu, miała jeszcze większe w tej mierze zasługi. Urodziwa i zgrabna kobieta — miała ona tylu wielbicieli, że pozwoliłem sobie na żart, iż należałoby założyć „organizację Todd" — grała jak w transie i wyciągnęła beznadziejny na oko mecz do zwycięstwa.

Amerykanki górowały w Wimbledonie i one to nadały Wimbledonowi 1947 swoje piętno. Turniej stał pod znakiem niebywałych, rewelacyjnych postępów kobiet. Kramer nie dorównuje wielkim mistrzom wymienionym przedtem; ale Osborne, Hart, Brough i Todd są lepsze od takich sław jak Helen Wills, Mathieu czy nawet Lenglen. Jest to nowy, lepszy, bogatszy rodzaj tenisu.

A polscy gracze? Wojna i wiek zrobiły swoje. Jędrzejowska utraciła tempo i zacięcie; Tłoczyński przekroczył wiek, kiedy mógł osiągać dobre wyniki (pobił go młody Rumun Rurac, brat o wiele sławniejszej zawodniczki Rurac, która nie mogła jednak sprostać Amerykankom). Wittmann również, Hebda podobnie; Skoneckiemu brakuje szlifu turniejowego. Para Hebda—Skonecki nie jest groźna; o wiele lepsza jest para Spychała—Tłoczyński — gracze ci winni skoncentrować się na grze podwójnej, albowiem tu mają coś do powiedzenia, podczas gdy w single'u szanse ich są małe. Taką właśnie drogę wybrali doskonali ongiś singliści Australii: Hopman i Crawford.

Jędrzejowska i Tłoczyński mają natomiast piękne zadanie do spełnienia: kształcenie w Polsce młodych graczy, tak abyśmy za 5 czy 10 lat mogli wystawić w Wimbledonie szybszą, młodszą i ambitniejszą ekipę.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

USTKA JEST MODNA

Po lewej: Ustka jest portem macierzystym słynnego polskiego jachtu dalekomorskiego „Generał Zaruski". Tłumy letników stale obiegają żaglowiec: odważniejsi próbują bez powodzenia wdrapywać się na maszty

Po prawej: Atrakcją Ustki są dwa najpiękniejsze chyba w Polsce mola „spacerowe". Przy końcu mola jest ławeczka, na której scyzorykiem wydłubano powszechnie używane w naszym kraju imiona obojga płci

...JAKO PORT WĘGLOWY

Szczury lądowe nie wiedzą o tym, iż państwo morskie musi mieć porty i małe i duże. Szczurom lądowym się zdaje, iż port wielki, to export import, węgiel i Unrra, a port mały, to tylko rybki łapane do sieci — flądérki i węgorze. Otóż tak nie jest. Porty małe są potrzebne jako porty pomocnicze. Chodzi o sprawę następującą: jeśli do portu dużego wpływa mały statek i zajmuje miejsce przy maszynach do ładowania, to w ciągu dnia załaduje np. 200 ton towarów. To samo miejsce zajęte przez statek duży, da obrót dzienny 10 razy większy. Stąd wynika, że daleko ekonomiczniej jest ładować małe statki w specjalnych małych portach, pomocniczych. Takim portem jest od niedawna Ustka, którą przeznaczono na port węglowy, obsługujący małe żaglowce wywożące od nas węgiel do Szwecji, Danii i Finlandii. Sprawą ta zajmuje się w Ustce bardzo sprawnie i sprężyście Spółka transportowo-spedycyjna Blok-Sped z Gdańska, udowadniając, że na inicjatywę prywatną jest miejsce w naszej gospodarce państwowej.

Ustka obsługiwać będzie statki o wyporności do 1000 ton rejestr. brutto, które w praktyce będą ładowały do 600 ton węgla. Zanurzenie dopuszczalne w Ustce wynosi 4 metry. W pełni sezonu, i po „rozkręceniu" się Ustki, potrafi ona przeładować dziennie do 50-ciu wagonów dwudziestotonnowych węgla. Oprócz tego Ustka pozostanie nadal portem rybackim dla okolicznego pasa Wybrzeża. Ale pożyteczne winno być połączone z przyjemnym, o czym przekonamy się na sąsiedniej stronie...

...JAKO PERŁA BAŁTYKU

Właściwie prócz Juraty nie mieliśmy na naszym brzegu morskim letniska „jako takiego". Jastarnia, Wielka Wieś, to były wioski przede wszystkim rybackie. Sopot stał się obecnie raczej miastem wojewódzkim, powiatowym, rządowym i niewiele tam zostało miejsca dla letników.

I oto niespodzianka: odkryto, iż mamy... Ustkę.

Ustka leży sobie o 100 kilometrów na zachód od Gdyni. Dzieli się na 3 części: port, miasteczko (schludne i ładniutkie), i wspaniałą dzielnicę willową, odległą o 3 kroki od plaży. Wszystkie wille zajęte już są na domy wypoczynkowe, wszystkie łóżka w domach wypoczynkowych zajęte już są na całe lato. Ustka stała się modna. Najwspanialszym jej urządzeniem jest las. Sosnowy, wysokopienny, który dochodzi do samej, samiutkiej plaży. Można siedzieć w lesie, wąchać zapach sosen i patrzeć na morze. Można siedzieć na plaży, wąchać zapach wiatru od morza, i patrzeć na las, słuchając świergolenia zamieszkujących tamże ptaszków.

Jedna tylko jest rzecz tragiczna. W rozkładzie jazdy figuruje 6 pociągów pospiesznych bezpośrednich do Ustki. Z Warszawy, Poznania, Krakowa, Katowic i Łodzi. Przy wszystkich pociągach jest czarne kółeczko, a przy kółeczku odnośnik do uwagi: „pociąg zostanie uruchomiony po odbudowaniu mostu pod Kwidzyniem". Czy nie można by przez ten jeden jedyny miesiąc sezonu nadmorskiego poprowadzić pociągów z ominięciem Kwidzynia? Bo myślę, że około Bożego Narodzenia, w grudniu, popołudniu, w Ustce będzie już trochę... za zimno!

TEKST I ZDJĘCIA: R. BURZYŃSKI

U dołu: Wielki elewator zbożowy w porcie pracuje już pełną parą, jako baza eksportu zagranicznego

U góry po prawej: Trzy konieczne do wypoczynku „żywioły" — morze, piasek i las — sąsiadują ze sobą

U dołu: W „Gospodzie Rybackiej" można skonsumować znakomitą flądrę wędzoną (100 zł. za 1 kg)

Po lewej: „Centrum" handlowe Ustki. Po nasyceniu się słońcem i wodą, można się tu wyżyć po miejsku

DEMOKRATYCZNY SAVOIR VIVRE W ODCINKACH

opracował: Jan Kamyczek

Odcinek XXI.

W SPRAWIE MIEJSC PUBLICZNYCH

§ 1. Bon-ton na ulicy.

Ponieważ ulica stworzona jest zasadniczo po to, by ludzie mogli się poruszać, bon-ton w tym wypadku polega na tym, by nie tamować ruchu. Nie należy zatem: 1) chodzić lewą stroną chodnika. Fe! 2) Przechodzić przez jezdnię wolnym kroczkiem i w nieodpowiednim kierunku. 3) Oglądać wystaw z odległości 3-ch kroków (tj. stojąc na samym środku chodnika), 4) zawracać nagle w miejscu na widok przechodzącego obok męża, aby wyśledzić tajemniczy cel jego przechadzki — gdyż tym sposobem zderzamy się z ludźmi, którzy idą za nami i tworzymy zator, 5) zatrzymywać się na środku chodnika dla rozmowy z całą grupą znajomych, 6) chodzić w 4-kę lub 5-kę w jednym rzędzie (i to trzymając się pod ręce, z piosenką „O mojej Warszawie" na ustach), 7) chodzić zbyt wolno lub zbyt szybko.

Ostatni punkt naszych rozważań wymaga objaśnień dodatkowych. Otóż każde miasto posiada pewne sobie przyrodzone tempo chodzenia po ulicach. W Warszawie np. tempo to wynosi ok. 4,5 km/godz., w Gdyni — 4,7 km/godz.; w Radomiu — 3,5 km/godz.; w Katowicach — 4,9 km/godz.; w Krakowie — 2,25 km/godz. i t. d. i t. d... Przyjeżdżając zatem do jakiegoś miasta, należy od razu poinformować się o dopuszczalną szybkość ruchu na ulicach i do tej szybkości bezwzględnie się stosować.

Osobnym zagadnieniem ulicznym jest wymijanie się. Zdarza się bowiem, że dwie osoby idące naprzeciw, chcąc ustąpić sobie miejsca — równocześnie usuwają się pod ścianę domu, a następnie, z jeszcze bardziej czarującym uśmiechem — przeskakują równocześnie na brzeg chodnika, po czym znów zgodnym ruchem wekslują w przeciwną stronę — i tak do wieczora, a tymczasem obiad w domu stygnie. Aby temu zapobiec, należy przyjąć żelazną zasadę chodzenia prawą stroną chodnika! Jeśli przeciwnik będzie człowiekiem uświadomionym i również będzie iść prawą stroną — nie ma mowy o wyżej wspomnianym kontredansie.

Jeśli chcemy zasięgnąć na ulicy jakichś informacji u przechodniów, zbliżamy się z dystyngowanym uśmiechem do upatrzonej ofiary i, uchylając kapelusza, zapytujemy wytwornie: „Przepraszam! Czy mógłby mi pan wskazać ulicę Mikołaja Kopernika?" — po czym, jeśli ofiara milczy w zakłopotaniu, można dodać: „...słynnego astronoma polskiego z XVI wieku" — co bardzo ułatwi facetowi udzielenie nam trafnej informacji, którą musimy pokwitować znów dystyngowanym uśmiechem oraz słowami: „Dziękuję panu uprzejmie". W sprawie takich informacji mężczyzna winien zwracać się o ile możności do mężczyzny, gdyż zaczepianie kobiet nieznajomych nawet pod tak niewinnym pretekstem jak Mikołaj Kopernik nie należy do bon-tonu.

Ciąg dalszy za tydzień.

KOMUNIKAT NADZWYCZAJNY.

Wobec ogromnego napływu do redakcji listów z prośbą o nasz gwarantowany środek przeciw czkawce, postanowiliśmy odpowiedzieć wszystkim petentom publicznie na łamach „Przekroju" i przekazać uroczyście ten zbawienny środek — na własność całego Narodu. Otóż:

Lewą ręką dokładnie zatykamy nos, prawą zaś ujmujemy szklankę z wodą. Następnie wodę łykamy wolnym ciurkiem nieprzerwanie i bez zaczerpywania oddechu, aż do chwili gdy zaczniemy zupełnie się dusić. Dopiero gdy cała krew napłynie nam do oblicza, oczy wyjdą na wierzch a w płucach uczujemy kłucie — możemy nos odetkać, szklankę odstawić i lekkim krokiem powrócić do salonu; czkawka zniknęła. Sposobu tego używają zawsze aktorzy, gdy podczas przedstawienia chwyci ich czkawka.

© digitalizacja: mbc.malopolska.pl



Rzeczpospolita Polska
MINISTERSTWO
Aprowizacji i Handlu
Departament Ekonom.
L. dz. II. D 1701

DO REDAKTORA „PRZEKROJU“!

W numerze 117 tygodnika „Przekrój“ ukazała się wzmianka p. t. „Jedzmy dorsze“, w której poddano krytyce wydaną w grudniu ub. r. przez Ministerstwo Aprowizacji broszurę, propagującą spożycie dorsza p. t. „Ryby morskie źródłem naszego zdrowia — Część I Dorsz“.

Przesyłając w załączeniu egzemplarz wymienionego wydawnictwa opracowanego przez fachowców i ocenionego pozytywnie przed drukiem przez Państwowy Instytut Higieny, z przykrością muszę stwierdzić, że autor formułując swe sądy, nie zadał sobie trudu, aby zapoznać się dokładnie z treścią broszury, rozesłanej do całej prasy polskiej. Z łatwością mógłby wówczas np. skonstatować, że część druga broszury przeznaczona jest nie dla rybaków, a dla pań domu i zawiera szereg praktycznych wskazówek przyrządzania dorsza. Podobnie trudno jest dopatrzyć się cech dyskwalifikujących broszurę w podaniu m. in. wskazówek jak rozpoznaje się rybę nieświeżą, nienadającą się do spożycia, czy też omówieniu sposobu obchodzenia się z dorszem solonym, względnie z t. zw. filetami z dorsza, t. zn. z rybą oprawioną, pozbawioną łba i wnętrzności, czyli części najłatwiej psujących się. Mogę zapewnić autora wzmianki, że sprzedaż ryby w tym stanie jest szeroko stosowana we wszystkich krajach przodujących w dziedzinie spożycia ryb morskich i czynione są obecnie usiłowania, aby ją rozpowszechnić w Polsce, choćby ze względu na zmniejszenie kosztów transportu, oraz możliwości zużycia odpadków w wytwórniach mączki rybnej.

Naczelnik Wydz. Prasy *St. Knauff*

DO REDAKTORA „PRZEKROJU“!

Koledzy, Wasza notatka w ostatnim numerze „Przekroju“ (118) — szmery stołeczne — wyrządziła mi — mimo waszej woli — dużą krzywdę. Rozsyłanie podziękowań za złożenie mi życzeń — to zwykła prowokacja. Ja tych druków nie wysyłałem. Sprawca został już ujęty. O fakcie tym podała Polska Agencja Prasowa — PAP. Koperty adresowała nauczycielka (żona głównego sprawcy) obecnie referentka poważnej instytucji.

Grupa szantażystów różnymi sposobami i chwytami chce mnie zmusić do okupu. Za czasów okupacji byli tacy „obywatele“, którzy żyli z okupu, szantażu i donosów. Nie mogą się pogodzić z nowym porządkiem rzeczy. Główny sprawca tego czynu przestępczego za dobrych czasów okupacji miał hurtowy skład, oczywiście, nie własny. Dobrze działo się wtedy cwaniakowi w stolicy Polski. Teraz jest subiektem w sklepie, więc dla dodatkowego dochodu próbuje imać się swego dawnego fachu szantażysty.

Wydział Kryminalny Milicji Obywatelskiej m. st. Warszawy ujął tego prowokatora i sprawa została przekazana Prokuratorowi Sądu Okręgowego w Warszawie.

Antoni Pisarski

DO REDAKTORA „PRZEKROJU“!

Na ulicy Nyskiej w Prudniku Śląskim ściany domostw pokryte są dziecięcymi rysunkami, do złudzenia przypominającymi nowy styl znanego z „Przekroju“ Kamyczka. Zapytuję, jak na to zareagują nasze władze oświatowe? Czy mamy spokojnie patrzeć na nasze pociechy, portretujące swoich rodziców i nauczycieli w podobnie uproszczony sposób?

Pod rysunkami są podpisy: „to nasz dyrektor“, albo „nasze mamusie spotkały się na rynku“.

Jak wiadomo styl Kamyczka polega na bezszyizmie, to znaczy że rysowane tą metodą postacie pozbawione są swoich szyj. Na to nasze społeczeństwo nie może się zgodzić. Jak tak dalej pozwalać, to różne Kamyczki zaczną coraz bardziej okradać człowieka i wkońcu nasze głowy znajdą się na pośladkach.

Wojt.

STANISŁAW REMBEK

W OPAŁACH

OPOWIADANIE

STRESZCZENIE POCZĄTKU OPOWIADANIA: Rzecz dzieje się w czasach okupacji. Bohater opowiadania, Władek, wraca z Brodni do Warszawy po załatwieniu spraw konspiracyjnych. Na stacji Groszków wpada w łapankę ale okupuje się żandarmom pieniędzmi. W mieście spotyka przyjaciela swego, Rostka, przebranego w mundur oficera gestapo, lecz z obawy przed wsypą odrzuca propozycję wspólnego działania i sam próbuje ukryć się w Groszkowie. Niestety pewna Niemka rozpoznaje w nim uczestnika utarczki w Porębie. Władek jest aresztowany i, po przesłuchaniu, skazany na śmierć wraz z całą grupą Polaków schwytanych w łapance.

Wyprowadzono nas. W każdym bądź razie nikogo z naszej trójki nie bito. Moja teoria postępowania z dzikimi zwierzętami okazała się jednak skuteczna. Tryumfowałem. Nie martwił mnie nawet wyrok śmierci. Od czego Rostek?

Tymczasem ustalono wreszcie grupę skazańców. Było nas ze dwadzieścioro, w czym jedna kobieta i dwoje dzieci, oczywiście Żydzi. Otoczyło nas ośmiu żandarmów, przeważnie uzbrojonych w pistolety maszynowe. Ruszyliśmy. Nikt nas już teraz nie bił ani nie poszturchiwał. Budziliśmy szacunek. Znajdowaliśmy się pod władzą Śmierci.

Szliśmy długo. Minęliśmy miasto i jeszcze kawał maszerowaliśmy pustą szosą aż do jakiejś opuszczonej fabryki. Była otoczona wysokim ceglanym murem. Wewnątrz wszystko było zarośnięte wysoką trawą, z której sterczały całkowicie żółte od rdzy żelazne beczki, wózki, sztaby, szyny... Panowała tu idealna pustka. Wymarzone miejsce dla morderstw masowych. Jakoż, zdaje się, było pod tym względem ocenione i wykorzystane. Wskazywały na to prostokąty ziemi skopane w różnych miejscach; niewątpliwie zbiorowe mogiły.

Zaprowadzono nas natychmiast do jakiejś szopy, gdzie leżały szpadle. Kazano się nam w nie uzbroić. Podoficer SS rozejrzał się wśród nas i wskazał palcem najwyższego mężczyznę, mojego sąsiada, młodego Żyda. Polecił mu się położyć na trawie. Końcem szpadla obwiódł jego postać, pociągnął kreski dalej i kazał nam kopać. Wzięliśmy się z zapałem do pracy. Nigdy przedtem nie pomyślałem, że z taką obojętnością, a nawet ulgą, człowiek kopie sobie grób. Co prawda, to ja osobiście nie mógłbym być żadną miarą wzorem dla psychologa, ciągle bowiem wyczekiwałem Rostka.

No, i oczywiście się zjawił. Przy bramie powstał ruch. Usłyszałem jego robiony bas i zobaczyłem, jak wkracza komediancko podnosząc niedbale powyginane ramię:

— Heitla!

Żandarmi prężyli się salutując lub unosząc prawice.

Rostek skierował się od razu do mnie.

— Dein Name? — wyciągnął gruby okrągły paluch.

Nie wiedziałem które nazwisko mam powiedzieć. Powiedziałem ostatnie:

— Grzeszczak.

— Mit! — ryknął Rostek.

Rzuciłem szpadel i podbiegłem do niego.

Rostek powiódł ciężko swoimi małymi oczkami po znieruchomiałych żandarmach i skazańcach.

— Ten człowiek jest mi chwilowo potrzebny. Pójdzie ze mną.

Zaczął wodzić swym grubym paluchem wśród wyprężonych Niemców.

— Ty i ty — wskazał dwóch żandarmów. — Pójdziecie również.

Wskazani przyskoczyli skwapliwie. Rostek popatrzył na nich przeciągle i z głębokim powątpiewaniem.

— Albo nie — machnął swoją niedźwiedzią łapą. — Zostańcie lepiej.

Wydobył z kieszeni kajdanki i zbliżył się do mnie. Wyciągnąłem doń dłonie z całkowitym zaufaniem. Nie umiałem też ukryć nagłej radości i gwałtownej wdzięczności.

— Wiedziałem, Rostia, że mnie wyratujesz — powiedziałem półgłosem. — Ale zrób też coś dla tych.

Wskazałem podbródkiem swoich towarzyszy kopiących dla siebie mogiłę.

Spojrzał na mnie groźnie, zatrzaskując okowy.

— Pst! Milcz!

W tej chwili kopiący najbliżej nas mężczyzna w brudnej narciarce podniósł w górę szpadel i zaczął wrzeszczeć po niemiecku w niesłychanym podnieceniu.

— Halt! Halt! To nie jest Niemiec! To nie jest esesman! To polski bandyta! Oni rozmawiają po polsku!

Powstał niesłychany ruch. Wszystkie karabiny i pistolety maszynowe skierowały się w naszą stronę.

— Hände hoch! Hände hoch!

Uniosłem swoje skute dłonie. Rostek również dźwignął niedbale swoje łapy. Ku mojemu zdziwieniu na twarzy wypełzł mu ciężki, pełen drwiny uśmiech.

— Tylko bez głupstw! — huknął po niemiecku. — Ten jegomość jest ajentem gestapo! Odpowiadam za niego! Będziemy się legitymowali takimi dowodami, jakie uznamy za stosowne i będziemy rozmawiali takim językiem, jaki uważamy za stosowny!

Przemówienie to wywarło „stosowne“ wrażenie. Wszystkie lufy, skierowane do nas, opadły. Niemcy spoglądali po sobie niepewni. Pomyślałem: „Jednak kapitan z Koepenick będzie zawsze w Niemczech nieśmiertelny“.

Rostek zwrócił się do mnie ze złością po niemiecku:

— Daj ręce!

Zaczął zdejmować mi kajdanki.

— Przez jednego durnia musiałem cię zdekonspirować! Chodź!

Wszyscy Niemcy patrzyli na nas z szacunkiem. Prężyli się, salutowali, i podnosili ręce, gdyśmy wychodzili.

Nim doszliśmy do bramy, ukazało się w niej trzech żandarmów. Jeden z nich, tłusty młodzieniec w rogowych okularach, był uzbrojony w pistolet maszynowy. Poznałem ich. To byli ci sami, których Rostek rozbroił w Porębie. Nie zdawali się być — niestety! — zaskoczeni spotkaniem z nami. Jednocześnie skierowali broń w naszą stronę. Twarze ich skurczyły się od nienawiści i jakby ogromnego strachu.

— Hände hoch! Hände hoch! — ryczeli jak dzikie zwierzęta.

Podnieśliśmy ręce spokojnie. Rostek nie uśmiechał się już drwiąco. Przyszła kreska na Matyska... Żandarmi szli na nas z wycelowaną bronią. Jeden szybko odpiął mu pas z rewolwerem.

— Vorwärts! Vorwärts!

Szturchając lufami prowadzili nas pod mur budynku fabrycznego. Była to niska, długa, ceglana budowla o wieloszybnych oknach, kończących się w wysokiej trawie. Rostek szedł założywszy dłonie na swym grubym karku. Teraz już rzeczywiście skończyło się wszystko. Mimo tej świadomości odczuwałem jakby pewne zadowolenie z zupełnego upokorzenia tego człowieka, który drażnił mnie stale swoją lekkomyślnością i nadmierną pewnością siebie. Stanęliśmy pod jednym z okien. W ciemnej szybce widziałem jak w zwierciadle, że dwaj żandarmi ustąpili udając się na jakąś naradę do młodego a gorliwego esesmana. Pozostał tylko ten z rozpylaczem w rogowych okularach. Stał naprzeciw nas z wylotem pistoletu skierowanym w nasze plecy.

Skończyło się wszystko! Rostek nie pomógł! Dlaczego tak późno przyszedł? Nie czułem już żadnego strachu, tylko przeogromny żal, ale nie taki zwyczajny, tylko powiedziałbym — estetyczny. Chciałbym wtedy, żeby moja śmierć odbyła się wśród muzyki i widzów, jak śmierć Petroniusza.

Zerknąłem w stronę Rostka. Ku niezmiernemu mojemu zdumieniu

© digitalizacja: mbc.malopolska.pl

mrugał on do mnie wesoło i porozumiewawczo:

— Obawiam się, że chcą nas rozwalić! — mruknął.

— Still! — wrzasnął żandarm.

— No, co: „still?" Strzelaj, durniu!

— Schweig, Hund! — ryczał Niemiec przyskakując do nas.

Równocześnie huknął strzał tuż przy mnie, aż mi w uszach zadzwoniło. W pierwszej chwili pomyślałem nawet, że to do mnie. Potem połapałem się, że żyję. „Zastrzelili Rostka!" Obejrzałem się. Ku mojemu niezmiernemu zdumieniu zobaczyłem, jak Rostek doskakuje do walącego się żandarma, jak wyrywa mu z bezwładnych rąk rozpylacz i kieruje jego wylot w stronę reszty Niemców.

— Hände hoch! — wrzasnął okropnym głosem.

Równocześnie jego pistolet maszynowy błyskał szybko, siejąc iskry na wszystkie strony.

To, co nastąpiło, wydało mi się jakimś nieskładnym, nieprawdopodobnym snem. Przez kilkanaście sekund wszystko skłębiło się w potworny szalejący motłoch. Widać było jakieś straszliwe szamotanie, strzały wybuchały ze wszystkich stron, pośpieszne, gwałtowne i niespodziewane, jak bijące z jasnego nieba pioruny. Wreszcie odzyskałem świadomość i zobaczyłem, że wszyscy Niemcy walają się na ziemi w potokach krwi, a nasi towarzysze — skazańcy z ich karabinami, rewolwerami i rozpylaczami w dłoniach, z rozpalonymi oczami odpinają pasy z ich trupów, przeszukując kieszenie.

Rostek miał już na twarzy swą zwykłą niezmiernie zadowoloną z siebie minę.

— No, chłopaki, udało wam się wykpić tym razem!

Przyskoczyłem, jeszcze nie zdążywszy ochłonąć.

— Co to się stało, Rostek? Co to było?

Spojrzał na mnie ze zwykłym sobie uśmiechem niezmiernej pychy.

— Co się miało stać? Nie przypuszczałeś chyba na sekundę, że dam się wykończyć tym paru durniom niemieckim. Miałem drugi pistolet za kołnierzem, na którym trzymałem ręce. W szybie widać było tego bydlaka w rogowych okularach, jak na półmisku. Wiesz poza tym, że byłem już wyznaczony z Polski na mistrzostwo świata w strzelaniu z pistoletu, tylko, że nie dojechałem do Rzymu, bo w Wiedniu strąbiłem się na trupa. Od tego czasu nie biorę przecie do ust alkoholu. Nie lubię, co prawda, strzelać do ludzi, choćby to nawet byli Niemcy, ale przyznasz chyba, że nie było innej rady.

Tymczasem wokół tłoczyli się uratowani skazańcy, patrząc na Rostka z uwielbieniem. Żydówka płakała głośno i głaskała go po rękach. Zarumienił się.

— Co pani? Co pani?

Chował ręce za siebie.

— Niechże się pani uspokoi, na miłość Boską!

— Moje dzieci! Moje dzieci! Uratowane!

— Wszyscy jesteśmy czyimiś dziećmi i wszystkim nam udało się uratować. Więc niech się pani uspokoi.

— Chłopcy — zwrócił się do gromady skazańców. — Najpierw zostawcie to miejsce w takim stanie, w jakim chcielibyście je zastać. A więc wszystkie trupki do dołu i zasypać je jako tako przyzwoicie, żeby nie było wiadomo, kto kogo rozwalił. A powtóre, czy jest tu wśród was jaki oficer?

Przystojny czarny Żyd szybko podniósł ramię.

— Ja jestem podporucznikiem rezerwy. Moje obecne nazwisko jest Marian Stefczyk.

— Dobrze — powiedział Rostek, kładąc wyprostowanemu jak struna młodzieńcowi rękę na ramieniu z kabotyńską powagą i nadymając się jak jaki hetman.

— Weźmiesz waść, mości poruczniku, tych ludzi i zorganizujesz z nich pluton strzelecki, nad którym zlecam waści komendę.

— Tak jest!

Kędzierzawy podporucznik zwrócił się do reszty niedawnych skazańców, rewidujących kieszenie konających Niemców, którzy leżeli w coraz bardziej rozszerzających się kałużach krwi. Słychać było przeciągłe chrapania trafionych w głowy oraz bolesny szloch tych, którym poprzestrzeliwano płuca. Wszystko to zresztą ku mojemu zdziwieniu, nie sprawiało mi żadnej przykrości. Czułem się jak po silnej dawce jakiegoś narkotyku. Zdawało mi się że śnię. Nawet błazeństwa Rostka wyjątkowo mnie nie raziły.

— Baczność! — zawołał podporucznik.

Mniej więcej połowa poderwała się na komendę. Reszta obszukiwała trupy, a nawet ściągała z nich płaszcze i mundury.

Wtedy huknął Rostek.

— Słyszeliści, co mówił pan porucznik? Czy mam powtórzyć komendę?

Wszyscy wtedy wyprostowali się i spojrzeli w naszą stronę z takim zdumieniem, że zaczerwieniłem się ze wstydu i warknąłem przez zęby.

— Błagam cię, Rostek, nie wykretyniaj się!

Łypnął ku mnie wesoło jednym oczkiem. Tymczasem młody oficerek kręcił się jak w ukropie. Rzeczywiście brał się do rzeczy z wielką znajomością rzemiosła wojennego. Przede wszystkim wysłał paru mężczyzn, uzbrojonych w pistolety, ukryte w kieszeniach, na posterunki alarmowe. Następnie zorganizował drużyny, rozdzielając odpowiednio broń i wyznaczając podoficerów. Chciałem przyłączyć się również, ale Rostek zatrzymał mnie za żołądek swoją ciężką łapą.

— Zostań. Musisz najpierw jechać do domu i zabezpieczyć rodzinę. Myślę, że przez pewien czas możesz się czuć zupełnie bezpieczny, bo wszystkich świadków z wyjątkiem tej małej żmijki powystrzeliwaliśmy dzisiaj.

W tej chwili podporucznik, sprawiwszy swoje szyki, zbliżył się do nas i wyprężył na baczność, pragnąc widocznie złożyć raport według wszelkich przepisów koszarowych. Rostek powstrzymał go ciężkim gestem swojej olbrzymiej łapy, potem zadarł swój gruby podbródek i wygłosił donośnie:

— Teraz udacie się wszyscy, oczywiście marszem ubezpieczonym, do lasu. — Wskazał krótkim ciosem dłoni czerniejącą o niecały kilometr pierzaję boru. — Będziecie szli, omijając Porębę, aż pod Porzanów. Tam ukryjecie się w zagajniku, wystawicie czujki i będziecie czekali na mnie. Tylko mnie przecie nie zastrzelcie przez pomyłkę. Naradzimy się potem, gdzie ukryć kobiety, dzieci i tych wszystkich, którzy by nie wytrzymali trudów partyzantki. Reszta będzie musiała zostać w lesie aż do końca wojny.

Wszyscy patrzyli weń, jak w cudowny obraz. Zdawali się nie tylko słuchem, ale i wzrokiem chwytać każdy jego wyraz. Zauważyłem, że dostrzega to i nabiera wskutek tego jeszcze bardziej władczego tonu, byłem jednak zbyt roztrzęsiony na skutek ostatnich przeżyć, żeby ta okoliczność mogła obudzić we mnie złość. Ledwie skończył, chwycił mnie za ramię.

— Chodź!

Wyszliśmy na drogę podmiejską. Parę luźnych domków po obu jej stronach wyglądało jak wymarłe. Widocznie mieszkańców tak wystraszyła niedawna strzelanina, że zaszyli się w jakiejś kryjówce.

Wyjąłem papierośnicę i poczęstowałem Rostka. Stąpał jak zwykle ze zwieszoną głową.

— Nie palę — mruknął przez zęby.

Obróciłem się doń zdziwiony.

— Nie palisz? Od kiedy to?

— Od wczoraj.

— Ślub, czy tak ni stąd ni zowąd?

— Nie. Doszedłem do wniosku, że „człowiek przygód", jak mnie określasz, nie powinien mieć żadnych nałogów, zwłaszcza że najprawdopodobniej czeka mnie długi żywot leśny.

Zatrzymał się nagle.

— No, tu się rozstajemy. Wracaj śmiało do domu. Nie przypuszczam, żeby cię dzisiaj miało spotkać co złego. Dla pewności możesz wysiąść gdzie wcześniej, a resztę drogi zrobić na piechotę. Ja jutro będę u ciebie i postaram się wybadać na miejscu, czy ci co nie grozi.

Oburzyły mnie nieco te pouczenia. Uważałem siebie za o całe niebo roztropniejszego od Rostka. Ale nie miałem teraz czasu na humory. Spojrzałem w stronę toru i żółtej budki przystanku kolejki, oddalonej zaledwie o jakie sto metrów. Jak okiem sięgnąć, nie było widać żywego ducha. Uprzytomniło mi to, że za chwilę mam znowu zostać sam i zdany wyłącznie na własne siły. Przypomniałem sobie wszystko, co przez ostatnie dni przeżyłem, i poczułem, że się rozklejam.

— Rostia! — zawołałem, chwytając go silnie za rękę. — Nie masz pojęcia... Nie, to jest chciałem powiedzieć, nie wiem, jak ci mam dziękować. Uratowałeś mi życie. Nigdy jeszcze nie byłem tak bliski śmierci. Naprawdę, nie chce mi się wierzyć, że mogło przyjść jeszcze dla mnie ocalenie.

Tu już nie mogłem utrzymać dłużej na wodzy swoich nerwów i zacząłem płakać. Rostek położył mi dłoń na ramieniu. Poprzez szklistą zasłonę łez spostrzegłem, że w maleńkich jego oczkach migocą iskierki ironii i że jego grube rysy układają się do uśmiechu.

— Nie masz się czym przejmować i nie masz mi za co dziękować — powiedział z kabotyńską powagą. — To była drobnostka o której nie warto wspominać. Zresztą każdy by przecie na moim miejscu nie inaczej postąpił.

Zatrząsłem się ze złości. Oczy obeschły mi natychmiast. Szybkim ruchem strąciłem jego łapę ze swego ramienia.

— Wiesz!... Nigdy nie przestaniesz się wygłupiać! W takiej chwili jakieś błazeńskie banały z powiastek dla grzecznych dzieci!...

Widziałem, że się przestraszył. Przestał się uśmiechać i otworzył usta.

— Władziu — powiedział cicho i błagalnie.

Ale już go nie słuchałem. Byłem wstrząśnięty do głębi. Odwróciłem się doń plecami i odszedłem bez pożegnania.

K O N I E C

KSIĄŻKI

Julian Tuwim: WYBÓR POEZJI. 1914—1939. Sp. Wyd. „Czytelnik". 1947. Str. 278.

Przeżyliśmy z Tuwimem lata gorsze i lepsze, chodziliśmy z nim pod pachą na wykłady, deklamowaliśmy go na randkach, odkrywaliśmy tuż pod okiem jego barwistany. Zapadały w nas te wiersze całymi pulsującymi strofami, żłobiąc w pamięci i sercu niezatarte ślady. Później, gdy staliśmy się o krztę mądrzejsi, zrozumieliśmy filozofię tego „ranyjulka", który wgryzał się zajadle w samo mięso życia. A jeszcze później poznaliśmy u niego smutki i gniewy, tak wielkie i nieobjęte, że na nic innego nie zostawało już miejsca. Przy całym bogactwie języka i wspaniałym słowotwórstwie, Tuwim w każdym prawie wierszu przeżywa męczarnie niedopowiedzenia, krztusi się od nawału rzeczy dostrzegalnych a niewyrażonych mimo, iż środki ekspresji doprowadził do doskonałości.

Gdzież mnie do poematów? Ledwo [wiersz wykrztuszę
Z rozdygotanej krtani, drżąc o każde [słowo,
Trwożąc się, czy coś znaczysz, [o zawodna mowo,
Dla której dźwięków tajnych żyć [i umrzeć muszę.

Znakami czarnej męki pstrząc białe [arkusze
Modlę się, płaczę, płonę, śmierć słyszę [nad głową,
Oczy na świat podnoszę — świat patrzy [surowo
A ja myślałem przecież, że niebiosa [wzruszę...

Trudno o poezji Tuwima pisać w kilku słowach. A poza tym dla nas są to sprawy zbyt rzewne, aby w ogóle można o nich pisać beznamiętne krytyki. Tacy już jesteśmy. Ziem.

Józef Kostrzewski: KULTURA PRAPOLSKA. Instytut Zachodni. Poznań. 1947. Str. 605 i 261 rycin.

Dzieło profesora Kostrzewskiego, najwybitniejszego bodajże prehistoryka wprowadza nas, laików prehistorycznych, w świat naszych dalekich przodków, którzy podzieleni na szczepy jako Polanie, Ślężanie, Wiślanie, Mazowszanie, Kujawianie, Pomorzanie i inni w czasach między V a XI wiekiem po Chr. tworzyli zawiązki narodu polskiego. Kostrzewski w swej książce dokładnie opisuje ich kulturę materialną (rolnictwo, rybołóstwo, myślistwo, mieszkania, odzież, higienę, rzemiosło, górnictwo, uzbrojenie i komunikację), kulturę duchową (imiennictwo, wierzenia, kulty, sztukę, gry i zabawy) oraz kulturę społeczną (rodzinę, ustrój społeczny i polityczny, wojskowość) — jednym słowem z wykopalisk oraz z dociekań językowych i etnograficznych konstruuje możliwie wierny i pełny obraz życia ludzi, którzy byli naszymi przodkami. Życie to miało swoje złe, ale i dobre strony; było wprawdzie prymitywniejsze fizycznie, ale i spokojniejsze i prostsze psychicznie. Bardzo ciekawa książka, a dla autorów zajmujących się czasami wczesnego polskiego średniowiecza — wręcz nieodzowna. Koź.

Balzac: OJCIEC GORIOT. Przełożył i wstępem opatrzył Tadeusz Żeleński (Boy). Sp. Wyd. „Książka" 1947. Str. 310.

Z „Komedii ludzkiej" Balzaca biorą początek względnie stanowią jej echo wszystkie prawie uwagi godne kierunki współczesnej prozy powieściowej. „Ojciec Goriot", najbardziej udana, jak gdyby trzonowa pozycja cyklu — warta jest zawsze przypomnienia, gdyż balzakowskie studia ludzi i analiza obyczajów wciąż jeszcze mogą służyć jako klucz do zrozumienia środowiska i natury ludzkiej. Centralne miejsce w powieści tej Boy przyznaje Vautrinowi, galernikowi i opryszkowi, z którego nieoczekiwanie wybuchają gorące porywy poświęcenia i przyjaźni. Sam ojciec Goriot to zapamiętały w miłości do dawno zmarłej żony starzec, którego obracająca się w próżni psychika, obiera sobie jako punkt zainteresowania życie intymne własnych córek. Zazdrość o uczucia dzieci przeradza się u niego w niezdrowe wynaturzenie. W tych właśnie partiach książki objawia się geniusz Balzaca umiejącego wydobyć na światło najgłębiej utajone popędy i ułomności, zarówno świadome jak podświadome. Ziem.

E. Romer: EUROPA. Mapa fizyczna.

E. Romer i W. Migacz: POLSKA. Mapa fizyczna. Inst. Kartograficzny E. Romera.

Wojciech Walczak: EUROPA. Mapa polityczna. Wydawnictwo „Przełom". 1947 r.

Starannie opracowane wielobarwne karty Polski i Europy pozwalają zorientować się naocznie w powojennym układzie granic naszego kontynentu. Polska, przesunięta na zachód staje się geograficznie państwem środkowo-europejskim z przewagą ziem nizinnych. Szkoły i uczelnie posługujące się dotąd przestarzałymi mapami, powinny jak najszybciej otrzymać wszystkie trzy nowości naszej kartografii.

© digitalizacja: mbc.malopolska.pl

STEFANIA GRODZIEŃSKA

WAZON Od Cioci Heli

FELIETONOWELA

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ODCINKÓW: Maciupscy dowiadują się, że w najbliższym czasie przyjedzie do nich w odwiedziny ciocia Hela, od której zależy posada ich córki. Wypada, aby wazon, otrzymany od cioci na rocznicę ślubu, stał na widocznym miejscu. Z trudem dorachowują się dziesięciu wazonów, otrzymanych z okazji tejże uroczystości, lecz niestety przypominają sobie, że właśnie jedenasty, ten od cioci, ofiarowali w swoim czasie Pichcikowskim. Pichcikowscy właśnie pakują się przed wyjazdem na letnisko, gdy przychodzą do nich Maciupscy...

*

— Mam pomysł! Już ja będę mówić, a ty mi tylko potakuj — szepnęła Maciupska.

Właśnie w tej chwili weszła do pokoju Pichcikowska.

— Bardzo państwa przepraszam, mąż przyjdzie za chwilę, bo musi hamak zreperować. Z tym wyjazdem to zawsze tak.

— Ależ niech państwo sobie nie przeszkadzają! Myśmy wpadli tylko na chwilę w takiej zabawnej sprawie...

— Właśnie. Wyjątkowo zabawna sprawa. Ha, ha, ha! — zaczął potakiwać Maciupski.

— Idzie o to, że przyjechał z zagranicy słynny kolekcjoner wazonów.

— A skąd przyjechał? — uczuła się w obowiązku zapytać Pichcikowska.

— Skąd... No... z emigracji. Z zachodu.

— Naturalnie, że z emigracji — potakiwał Maciupski zgodnie z umową.

— I właśnie ten kolekcjoner poszukuje japońskiego wazonu. Akurat japoński wazon mu potrzebny do kolekcji. Oglądał już japońskie wazony w całej Polsce, ale nie znalazł takiego, o jaki mu chodziło. To ma być niebieski wazon z gejszą przy uchu.

— Przy samym uchu. Wazon ma ucho i przy tym uchu jest gejsza — potakiwał w dalszym ciągu Maciupski.

— Słowem taki wazon znajduje się u państwa.

— U nas? — zdziwiła się Pichcikowska.

— Przysłaliśmy go pani na imieniny. I właśnie pomyśleliśmy sobie, że nie zwrócilibyśmy się z tym do nikogo innego, ale, pani jest osobą tak wyjątkowo kulturalną...

— Wyjątkowo — powiedział Maciupski.

— Że pani nas źle nie zrozumie. Pozwoliliśmy sobie wyszukać najładniejszy w mieście kryształowy wazon. Pani będzie łaskawa przyjąć go w zamian za tamten, który dla tego kolekcjonera ma tak niesłychaną wartość. Ten człowiek będzie panią błogosławił. Więc jeśliby pani mogła...

— Jedną chwileczkę — rzekła zmieszana Pichcikowska — oczywiście, jak najchętniej, dlaczego nie, tylko państwo chwilkę zaczekają.

— I wybiegła do kuchni.

— Kocio! Kocio, przypominasz sobie jakiś japoński wazon od Maciupskich?

— Czego ty chcesz ode mnie, już sobie wszystkie paznokcie połamałem przy tym hamaku.

— Ale wazon! Niebieski japoński wazon! Nie pamiętasz żadnego japońskiego wazonu? Podobno przysłali mi na imieniny.

— Mało dostałaś wazonów na imieniny? Co ci nagle przyszło do głowy?

— Niebieski wazon? — odezwała się Lodzia — proszę pani, czy na nim była kobita w białym palcie wymalowana koło ucha?

— Tak! Tak! Gdzie jest?

— Ogórki w nim stoją, proszę pani.

— Daj w tej chwili! Wyrzuć ogórki! Prędko! Przepłucz go! No, chwała Bogu. Dawaj wazon. Kocio, kończ z tym hamakiem, ja tymczasem spławię Maciupskich.

I niosąc triumfalnie wazon, Pichcikowska wyszła z kuchni.

— Wazon, wazon, tra la la, tra la la, tra la la — nucił na melodię „Trzech świnek" Pichcikowski, dłubiąc przy hamaku — wazon, wazon, tra la la, wazon tra la la! No już. Może Lodzia wziąć ten hamak. Będzie tak długo cały, póki pani na nim nie usiądzie.

Pichcikowski umył ręce i wszedł do pokoju.

— Państwo mi wybaczą... Co to, już poszli? — spytał, zobaczywszy opustoszałą balię.

— Poszli, poszli. Gdzie hamak?

— Lodzia wzięła. Czego oni chcieli?

— Ach, jakieś tam zawracanie głowy. Przyjechał facet z emigracji i szukał po całej Polsce japońskiego wazonu, który mi Maciupscy dali na imieniny.

Pichcikowski usiadł na balii.

— No, no i co dalej?

— Nic dalej. Oddałam im ten wazon, oni mi dali za to jakieś inne niby kryształowe paskudztwo i spokój. Co ona tam robi z tym hamakiem?

— Czekaj! Coś ty zrobiła? Oddałaś ten wazon!?

— No pewnie. Mogę równie dobrze trzymać ogórki w tym niby — krysztale.

— Jakie ogórki? Co ty gadasz o ogórkach? Fantastyczne. Więc gość z emigracji przyjeżdża do kraju i szuka wazonu. Żaden inny nie może być tylko właśnie ten. I ciebie w ogóle to nie zastanawia.

— Tak, teraz, to mnie zaczyna trochę dziwić.

— Dziwić! Ona się tylko dziwi. Przecież to fantastyczna historia! Że też nam się coś podobnego musi zdarzyć! Ktoś przyjeżdża z emigracji specjalnie po wazon. Rozumiesz? Tak, jakby tam nie było wazonów. Ofiarują mu tysiące najpiękniejszych wazonów, ale on wszystkie odrzuca. „Nie, to nie ten!" — mówi za każdym razem. Tak przecież opowiadasz. Tak, czy nie tak?

— No tak... — odpowiedziała przerażona Pichcikowska.

—Traci już nadzieję odnalezienia tajemniczego wazonu i omal nie wraca za granicę z pustymi rękami, gdy w ostatniej chwili wazon znajduje się... u nas! Czy ty to rozumiesz? I co ty robisz? Po prostu go oddajesz.

— A co miałam robić? Nie oddać?

— Rzeczywiście. Nie mogłaś nie oddać. Dobry kawał, gdybyś się nie zgodziła oddać! Już oni mają sposoby, żeby odebrać taki wazonik... Jasne, że musiałaś oddać. No, no, ale kto by się po takich Maciupskich spodziewał... Wyglądają, jakby się w ogóle nie zajmowali polityką, a tu masz.

CIĄG DALSZY ZA TYDZIEŃ

STANISŁAW JERZY LEC

ORYGINAŁ

„Niczego zza obcych płotów!"
Jest jego stałym hasłem.
I dopiął. Jest idiotą
na podobieństwo własne.



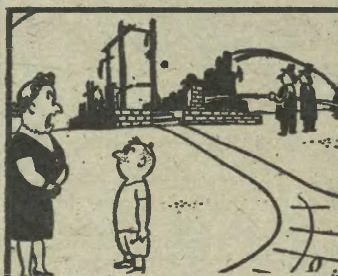
(„Esquire")

— Mamusiu, czy Fredzio może zostać na śniadaniu?

STANISŁAW JERZY LEC

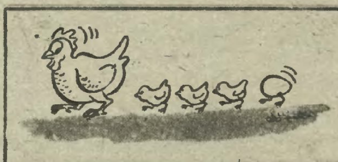
PRZEZNACZENIE

Szkoda obwieszczeń i okólników
i kursów i instruktorów.
I tak się jedni będą rodzić
na satyryków
a drudzy na cenzorów.

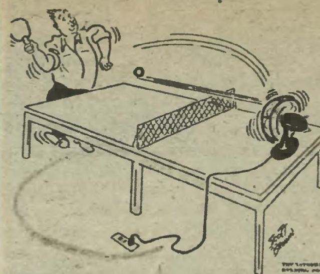


(„Liberty")

— Ile razy trzeba ci powtarzać żebyś nie podpalał domów?



(„The Saturday Evening Post")



(„The Saturday Evening Post")



(„True Magazine")

ROK I Łódź, 27 b. m. 1947 r. NR 7.



ORGAN JANUSZA MINKIEWICZA

IŁŁAKOWICZ,*) BÓJ SIĘ BOGA, CZYLI KOMENTARZ DO PONIŻSZEGO OGŁOSZENIA ZAMIESZCZONEGO W NR. 120 „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

poszukuje w Polsce najchętniej w Krakowie lub Poznaniu, posady sekretarki, urzędniczki, nauczycielki języków, w szpitalu, klasztorze, uniwersytecie, przedsiębiorstwie, szkole, fabryce lub prywatnie. Posiada praktykę referendarską, nauczycielską i pielęgniarską. Języki: rosyjski, angielski, francuski, niemiecki — perfekt, rumuński — nieźle, węgierski — słabo. Liczne referencje i świadectwa. Oferty: Rumunia, Cluj, Strada Ciparlu 5, albo P. Krystyna Czerwijowska, Warszawa, Mokotowska 15, m. 46.

W ogłoszeniu powyższym
Zawiadamia nas Iłła,
Że na dobrą posadkę,
To by, owszem, wróciłła.

Z jej słów wieje obawa,
Że tu ludzi jest tylle! —
I wśród nich będzie trudno
W kraju zmieścić się Ille...

Że w szpitalu, że w szkołach
Moc fachowej jest siłły,
Że wśród tego nadmiaru
Zbraknie pracy dla Iłły...

Że co wojna zniszczyła,
To się już odrobiłło —
Niepokoi się Iłła:
Czy kraj zajmie się Iłłą?

Więc się Iłła ogłasza
Z wdziękiem i kokieterią...
...Bardzo Panią przepraszam,
Pogadajmy na serio!

W żartobliwej mej mowie
Drobny zrobię dziś wyłłom,
Prosty fakt wytłumaczyć
Wszystkim w świecie chcę Iłłom:

Jeszcze kraj się nie dźwignął
Z wszystkich strasznych spustoszeń —
Tu się pracy nie szuka
Drogą drobnych ogłoszeń.

Pracy jest tu po uszy —
(Takie dziś są stosunki!)
Chcesz, to przyjedź. Lecz poco
Zaraz stawiać warunki?

Wracaj, Iłło, do kraju,
Który goi swe blizny,
Lecz o jedno prosimy:
KAZIU, NIE MĘCZ OJCZYZNY!

*) **Kazimiera Iłłakowiczówna** — autorka licznych wydanych przed wojną tomów poezji, oraz „Ścieżki obok drogi", wspomnień z czasów, kiedy była sekretarką Marszałka Piłsudskiego.



(Kamyczek)

— Zdaje się, że jeden z nas zabłądził!

© digitalizacja: mbc.malopolska.pl

MODA

(„ELLE")

MOTTO:
„Pszenica, kukuruza, bób, jęczmień wąsaty,
Proso, groszek a nawet krzewiny i kwiaty..."
— Oto jak określa Mickiewicz modne desenie drukowanych sukien (Pan Tadeusz, Księga III, „Umizgi"). Idąc za wskazaniem Wieszcza, lansujemy poniżej paryskie modele sukien w groszki



OD LEWEJ:

Suknia „Groszek przy drodze" — z szeroką spódnicą i wiązaną z boku szarfą. (Model Madelaine Rauch). Paltocik „Groszek wdowi" — w białe groszki na czarnym tle, odpowiedni dla pocieszonych już wdów, zmierzających oprzeć nowo planowane stadło małżeńskie wyłącznie na zupie grochowej (model firmy Paquin). Sukienka „Groszek do groszka" — z dekoltem kwadratowym i bufiastymi rękawkami, przy czym resztę grochu, która nie zmieściła się na sukni, umieszczamy na słomkowym kapeluszu (model firmy Heim). Suknia z dwóch części „Groch o ścianę" odpowiednia dla kobiet upartych, których nawet rzucanie o ścianę nie może przekonać o konieczności wsiadania do tramwaju tylnym pomostem (model Lelong). Kostiumik „Pudliszki" — zielony groszek konserwowy na ciemnym tle luźnego żakietu i wąskiej spódniczki (model Piguet). Suknia „Olszynka Grochowska" — w duże grochy z drapowaną spódnicą i obcisłym stanikiem zaprojektowana według słynnego obrazu W. Kossaka a wykonana w słynnej paryskiej firmie Schiaparelli

Czytelnikom, których napełnia zdumieniem fakt umieszczenia w niniejszym numerze „Przekroju" — działu „Moda" na poprzek — wyjaśniamy, że chcemy jedynie wstąpić w ślady pism awangardowych, które na tytułowych stronach zamieszczają zdjęcia odwrócone do góry nogami (patrz „Nowiny Literackie", nr 17). Do tej doskonałości jeszcze nie doszliśmy, ale jak Państwo widzą, usilnie się staramy...

KONKURS DZIAŁU MODY

Nagrodę 1000 zł otrzymuje w bież. tygodniu **p. JANINA SIMON** we Wrocławiu.

Sukienka kombinowana, z jedwabiu, z kloszową spódnicą i kimonową, marszczoną bluzką.



Szanowny Panie Redaktorze!

„DNI KRAKOWA W R. 1948"

Przede wszystkim nie będzie sknerstwa ze światłem i ksiądz Machay będzie iluminował wieżę Mariacką i świętą Annę trochę częściej, a nie tylko od wielkiego politycznego dzwonu; będzie iluminował hojnie, na radość i wdzięczność dzieci, poetów, wariatów i turystów całego świata, **totius orbis terrarum.** Po drugie na każdym rogu ulicy stanie Nardelli z ekipą radiofonistów i będziemy transmitować wtedy wszystko, nawet brzęczenie much i wymioty dorożkarzy. (Przy okazji chciałbym, proszę Pana Redaktora, zaznaczyć, że krakowscy dorożkarze (vide: „Zaczarowana Dorożka", str. 58 i nast.) nie wymiotują wcale pod wpływem alkoholu, tylko pod wpływem nudy i pod wpływem nie dynamicznego światopoglądu. A my wiemy, że nie ten facet jest dynamiczny, który śpiesznie a bez sensu jedzie, tylko ten, który stoi i myśli (vide: prof. Zawirski: „Nowe prądy w filozofii"). A „Przekrój" jeszcze w XVII w. proponował wprowadzenie na małym obszarze Polski MINUT MYŚLENIA, ale przez intrygi Henryka Sienkiewicza nie wyszło. Po trzecie, co już przewidział swego czasu współpracownik „Przekroju" Izajasz, świętości zostaną zaszargane, czyli Barbakan, czyli Rondel zostanie skanalizowany, żeby po deszczu orkiestra nie potrzebowała grać z fagotami pod wodą i w Barbakanie, tym najsławniejszym teatrze plenerowym Europy, wystawimy „Strachy" Plauta w **mise en scène** dra Ronarda Bujańskiego, z dekoracjami Marianka Eilego, z kostiumami Jasia Kamyczka i z piosneczkami (politycznymi!) Kota Gałczyńskiego. Poza tym będzie jeszcze nie jeden szlagier: **Będziemy demonstrować punktualnych Polaków i pożyczać pieniądze Amerykanom.**

Bo w tym roku to słabo: Jedyna sensacja to 26-go i 27-go o godzinie 21-ej WIECZORY SATYRYKÓW W „SCALI": Bogdan Brzeziński z Marylką, Ronard Bujański (doctor), Stefan Otwinowski jako prezes i jako nagrobek, Jerzy Waldorff („Przekrój", komentarze zbyteczne), Witold Zechenter, autor wiersza „Różne mnie męczą pytania", oraz niżej podpisany, onże król Herod Demokracji, onże Karakuliambro — na Zielonej Gęsi. Również wystąpi w „Scali", przepraszam, nasz. b. attaché literacki w Cairo (Egipt)

Bo jak powiedział nasz współpracownik Mikołaj Rey z Nagłowic, pseudonim konspiracyjny Ambroży Rożek:

A NIECHAJ NARODOWIE WŻDY
[POSTRONNI ZNAJĄ
ŻE POLACY ZIELONE GĘSI
[POSIADAJĄ.

Ze spółdzielczym pozdrowieniem:

Karakuliambro

KĄCIK FILATELISTYCZNY



PROJEKTY M. WĄTORSKIEGO NA SERIĘ POLSKICH ZNACZKÓW „ŚWIAT PRACY"

Z konkursu na znaczki pocztowe obrazujące polski „Świat Pracy" podajemy projekty art. Miecz. Wątorskiego, przedstawiające: 5 zł. — rolnika, 6 zł. — hutnika, 10 zł. — górnika i 20 zł. — rybaka.

Z projektów tych został przyjęty ostatni — rybak, który ukaże się jako znaczek 15 zł. wykonany sztychem przez Dufresna w serii wydrukowanej we Francji.

Pozostałe znaczki tej nowej serii drukowanej we Francji będą wykonane według projektów art. St. Żechowskiego sztychami przez: G. Barlangue — 5 zł. robotnik, Cotteta — 10 zł. rolnik i Mazelina — 20 zł. górnik. Próbnodruki tej serii są już wystawione w Muzeum Poczty w Warszawie, ul. św. Barbary 2.

St. Mikstein

SPORT

MUSIMY SKAKAĆ WYŻEJ.


Znany warszawski miotacz Gierułło

Leżą przede mną dwie tabele. Pierwsza przedstawia listę najlepszych wyników, uzyskanych w lekkiej atletyce w roku 1939, na drugiej widnieją odnośne cyfry z roku 1947. Porównujemy i kiwamy głową. Zamiast rozwoju — zatrważający zanik. Jeszcze w biegach krótkich różnica nie jest zbyt rażąca, bo przecież w latach okupacji niejednemu przychodziło uciekać przed prześladowcami w morderczym tempie, które to biegi często kończyły się wraz z życiem. Ten osobliwy trening wyszedł nam w sporcie — o ironio — na korzyść. Ale przy porównywaniu innych konkurencji, szczególnie skoku wzwyż, o tyczce, rzutu dyskiem i biegów na długie dystanse — rozkładamy ręce w niemocy. Przyczyny tego stanu rzeczy są wiadome i pozostają poza zasięgiem działalności i odpowiedzialności zwierzchnich czynników sportowych. Lekkoatletyka polska została zubożona w czasie wojny o prawie całą swą elitę, bądź wyniszczoną fizycznie, bądź rozproszoną po świecie. Z dawnych gwiazd doliczyć się można zaledwie kilku popularnych przed wojną nazwisk: Wajsówna, Kwaśniewska, Gierutto... Na tym chyba koniec. Drugą co do wagi przyczyną słabego poziomu jest katastrofalny brak kondycji, spowodowany wieloletnim niedojadaniem, wyczerpującą pracą i t. d. Zawodnikiem należy się opiekować i czuwać nad jego trybem życia, a tego właśnie pozbawiony był do niedawna nasz narybek. Reszty ciemnych plam lepiej nie wyliczać, bo i tak na nic się to nie przyda. Pierwszą rzeczą do zrobienia, najważniejszą troską PUWF powinien być szeroki zaciąg nowych kadr lekkoatletycznych i zapewnienie im trwałej pomocy. Jedynie dzięki temu za 5 lub 10 lat będziemy mogli wyjść z obecnego impasu i przekroczyć nasze dotychczasowe najlepsze rezultaty.

Top.


Reprezentantki Polski w lekkiej atletyce z olimpijką Marią Kwaśniewską na czele





Zęby czyści najlepiej

PASTA

DENS

Warszawskiego Laboratorium Chemicznego Sp. Ak.

Do nabycia we wszystkich większych perfumeriach i składach aptecznych

658

Znany od 1910 r. odsiwiacz

„ORIENTINE"

przywraca siwym włosom ich naturalny kolor

732

KREM DO PANTOFLI PŁÓCIENNYCH

BIEL SOL-TENNIS

LABOR. „SOLIDA" - WARSZAWA

ŻĄDAĆ WSZĘDZIE!

725





738



— Zdaje się, mój drogi, że trzeciej wojny nie będzie. Trzeba zacząć marzyć o czwartej...

ARTRETYZM choroby wątroby, żołądka i kiszek, chroniczne zaparcia, złą przemianę materii, kamienie żółciowe zwalczają ZIOŁA „CHOLEKINAZA" H. Niemojewskiego. Sprzedaż w aptekach i składach aptecznych Laboratorium Fizjol. Chem. „Cholekinaza" WARSZAWA, ULICA MOKOTOWSKA 30

581

REDAGUJE ZESPÓŁ * REDAKCJA: KRAKÓW, PIŁSUDSKIEGO 19a (GODZ. 12-14) TELEFON 559-54
WYDAWCA: SPÓŁDZ. * RED. WARSZAWSKA: DASZYŃSKIEGO 14, POK. 217 (GODZ. 13-15) TEL. 879-36 *
WYD. „CZYTELNIK" * ADMINISTRACJA: KRAKÓW, WIELOPOLE 1. TELEFON 545-60, -61, -62

CZYTELNIK

TŁOCZONO W DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

FILM

WYRÓŻNIONY SCENARIUSZ




Harold Russel — Myrna Loy
w filmie „Najlepsze lata naszego życia"

Nagrodę na festivalu brukselskim za najcelniejszy scenariusz otrzymał film amerykański pt. „Najlepsze lata naszego życia". Oto historia jego powstania i jego treść:

Po ujrzeniu w tygodniku „Time" fotografii żołnierzy amerykańskich wracających po zdemobilizowaniu do swych domów i rodzin, S. Goldwyn, właściciel wytwórni „Metro Goldwyn Mayer" wpadł na pomysł stworzenia filmu na ten temat. — Zakończył właśnie realizację filmu „VJ—Day" czyli „Święto pokonania Japonii", miał więc czas na przystąpienie do nowej pracy. Wprzągł do niej popularnego w Ameryce literata Mac Kinley Kantora, który stworzył powieść o przeżyciach trzech żołnierzy — lotnika, marynarza i piechura — powracających z wojny. Powieść ta powędrowała z kolei do dramaturga R. E. Sherwooda, który opracował scenariusz, wprowadzając doń pewne inowacje, oraz postać marynarza-inwalidy, który na wojnie utracił obie dłonie i posługuje się protezami. Ten ostatni pomysł nastręczył wiele kłopotów, gdyż trudno było zastąpić tak straszliwe kalectwo najlepszą nawet charakteryzacją. Reżyser William Wyler zadecydował ostatecznie, iż rola inwalidy powierzona zostanie Haroldowi Russelowi, pozbawionej obu rąk, autentycznej ofierze wybuchu ładunku dynamitu.

Postaci tak pełnej tragizmu i wymowy, tak wyrazistej, nie stworzyłby chyba żaden aktor zawodowy. — Kaleka-marynarz sam nosi swój bagaż, strzela z karabinu, zapala papierosa, pisze, ubiera się i rozbiera, je, — stalowe uchwyty przymocowane do ramion zastępują mu niemal w pełni dawne, własne ręce. Nie potrafi tylko pieścić włosów swej dziewczyny.... I tu zaczyna się tragedia człowieka, który nie chce przyjąć ofiarowanej mu miłości, sądząc, iż jest to jałmużna rzucona nieszczęśliwemu. Również dwaj jego towarzysze: sierżant Al Stefenson (Frederic March), oraz kpt. Fred Derry (D. Andrews), przeżywają trudne konflikty po powrocie do domów. Wojaczka, która wchłonęła ich bez reszty, kazała zapomnieć im o dawnym życiu „w cywilu". Wszystko stało się obce — rodzina, dom, biuro gdzie dawniej pracowali, oddychają jeszcze atmosferą niebezpieczeństwa, muszą powoli przystosowywać się do nowego życia.

Film, mimo ciężaru gatunkowego swego tematu, ujęty jest pogodnie, pełno w nim momentów niesłychanie dowcipnych, „gagów" w najlepszym stylu. Doskonałe ujęcia operatorskie, sceny pełne wzruszenia, jak powitanie z rodziną, bezręki marynarz grający swymi dwoma stalowymi uchwytami na fortepianie i wreszcie — żywy montaż i dobre dialogi, stworzyły całość o bardzo wysokiej klasie.

W. Żdżarski

URZĘDNIK BYRNES

Bawiąc w Warszawie przejazdem z Oslo do Berlina, potentat filmowy USA Eric Johnston, prezes Motion Picture Export Association (MOPEXAS, towarzystwo eksportowe, dostarczające nam filmy amerykańskie), zaprosił przedstawicieli prasy na konferencję, na której zapowiedział nowe dostawy obrazów z USA.

Wśród kilkudziesięciu filmów zobaczymy m. in. „Marię Curie Skłodowską", której postać odtwarza Greer Garson, „Stracony Week-End" z Ray Millandem, zdobywcą nagrody za najlepszą grę aktorską na festivalu w Cannes, oraz słynny film „Casablanca".

W towarzystwie MOPEXAS — jak dowiedzieliśmy się — pracuje b. minister spraw zagranicznych USA Byrnes. Mr. Johnston oświadczył, że z pracy tego swego nowego urzędnika jest całkowicie zadowolony. **(żdż.)**

PRZYJEMNE

„GOAL" — to jest historia gracza przodującego w drużynie futbolowej, który rzuca sport, by zostać konstruktorem motocyklów. Potem jednak tak reguluje sobie życie, że może uprawiać równolegle i sport i pracę zawodową i muzykę i śliczną żonę, którą tymczasem zdobył. Film jest miłą komedią a ważkim jego walorem jest pokaz mistrzowskiej gry w piłkę nożną. Że jednak my obaj gramy tylko na skrzypcach i wiolonczeli, więc trudno nam było należycie ocenić ów odnożny walor. Sądząc wszakże po entuzjastycznej reakcji młodych widzów, wypełniających salę kina, film będzie miał ogromne i słuszne powodzenie.

B-cia Rojek

WŁADYSŁAW DROP

PAMIĘTNIK Z MAŁEGO MIASTECZKA

Poniedziałek, 3 lutego.

Co za zima, co za zima! Dziś od samego rana nieszczęście. W magazynie za moim sklepem cieknie zlew. Nie wiem jakim sposobem, bo od roku nie używany — wszystko zepsute, a teraz zamarznięte, a jednak na podłodze jezioro. Panna Kazia musiała zbierać. — Także i nasza profesorowa ma zmartwienie. Wprawdzie przyszedł świeży transport ubrań UNRR'y, jej mężowi kazali wnieść nowe podanie. Poprzednie, które wniósł przed miesiącem, już nie ważne, bo je zgubili. — Żona wróciła z zebrania przygnębiona; 50% dzieci ma gruźlicę, a 70% stale niedożywione; wspominałem o tym Kazi, ale ona zajęta tylko swoim narzeczonym. — Te kozy o niczym poważnym nie chcą myśleć...

Wtorek, 4 lutego.

Nowy zalew w magazynie. Tym razem nie ma wątpliwości, co się przedostaje do nas... Stróż oświadczył mi uroczyście, że to od Cinciałów z drugiego piętra, gdzie kanalizacja jest zatkana. Co za oko ma ten człowiek! — Poszedłem do nich na górę. To repatrianci ze Wschodu, biedni ludzie. Uzyskałem, że przez dwa dni nie będą używać kanalizacji, dopóki się nie naprawi. Trzeba poszukać gospodarza. — Profesorowa namówiła swego staruszka, by napisał nowe podanie. Ale gdy poszła, powiedziano jej, że UNRR'a jeszcze nie rozdzielona i żeby przyszła jutro. — Kazia uradowana: narzeczony wrócił z kursu dla prelegentów. Ma tu otrzymać wysokie stanowisko oświatowe.

Środa, 5 lutego.

Gospodarz powiedział mi dziś, że ani mu się śni naprawiać klozety ludziom, którzy nie płacą. — Przed samym południem wpadła profesorowa w rozpiętym futrze, z opadającą pończochą, tak podniecona, że musiałem wysłuchać całej historii. Stała w kolejce przez 2 godziny. Ci, co dostali odzież, oglądali ją na dziedzińcu pod światło, a niektórzy sprzedawali lub zamieniali między sobą. — Wielu niezadowolonych wracało jeszcze raz, żeby im wymienić na co innego i dlatego trwało tak okropnie długo. Ona już była w tym pokoju, jeszcze trzy osoby przed nią, gdy jakiś pan zaczął się domagać, żeby mu zamieniono spodnie na co innego, a gdy prezeska odmawiała, rzucił jej te spodnie w twarz. Wołał przy tym, że gdyby ona wiedziała, gdzie pracuje jego szwagier, nigdy nie śmiałaby mu dać łatanych spodni. Wtedy prezeska oświadczyła, że przerywa rozdawanie, ponieważ obrażono jej cześć niewieścią i że pójdzie oddać tę sprawę pod sąd opinii publicznej. Tak, że po dwóch godzinach profesorowa odeszła z niczym i jeszcze jej urwano podwiązkę. — Żona wróciła z miasta rozpromieniona: dziś przyszły dla dzieci dary szwajc. Czerw. Krzyża. — Kazia bardzo dumna, jej narzeczony będzie wykładał na kursach dla dorosłych.

Czwartek, 6 lutego.

Nie ma innego wyjścia, trzeba zabrać się do dzieła. Posłałem po montera, ale jeden wyjechał na Zachód na jakiś kurs, drugi na narciarski zjazd gwiaździsty, a trzeci był na wiecu. A tu już drugi dzień upływa. — Po południu, jak zwykle, wizyta profesorowej. Powiedzieli jej, że UNRR'a już rozdzielona. Ci co nie dostali, mają czekać na następny transport. Ale muszą zarazem złożyć nowe podanie. Tamte już nie ważne, odnosiły się tylko do tego transportu. W całym mieście głośno o tym, co się wczoraj stało w Opiece. Niektórzy mówią, że prezeska nie powinna była odmawiać człowiekowi, który ma takiego szwagra. Inni pytają się, kto to może być ten szwagier i jeżeli taki wpływowy, to dlaczego nie da temu panu lepszych spodni? — Kazia w gorszym humorze. Podobno tematy tych wykładów jej narzeczonegó są bardzo trudne.

Piątek, 7 lutego.

Znowu się leje. Tym razem zamokły w magazynie sznurowadła i cumelki, a co gorzej pieprz i herbata. Pobiegłem znowu na górę, ale te panie powiedziały, że już dwa dni przeszły i że bardzo przepraszają, ale dłużej wiader po schodach dźwigać nie mogą. One wylewały wodę przez płot do ogródka dziecięcego RTPD, ale wczoraj zaczął się tam „tydzień czystości" i proszono je, aby przestały. Teraz już sam poszedłem do montera. Nareszcie zastałem go; okazuje się, że był na kursie dla „mechaników" urządzonym w Kładzku. Bardzo sobie chwali ten kurs: przywiózł z niego dywan, kryształy i dwa radia. O mojej sprawie nawet nie chciał słyszeć. „Pański klozet nie leży w wachlarzu moich zainteresowań" — tak powiedział dosłownie. Gdy nalegałem odparł, że on tę kwestię musi rzutować. — Profesorowa ogromnie zmartwiona, bo jej mąż zrobił dziś w magistracie awanturę. Miał powiedzieć, że nie będzie pisał co tydzień nowego podania dla smarkaczy, którzy sami się podpisać nie umieją. Prosiła, ażebym sam poszedł to załagodzić. Powiedziano mi, że reszta odzieży przeznaczona jest dla zagwarantowanych. Wtedy jakaś klientka odzywa się: „a przecież dziś widziałam, jak panie wynosiły stamtąd paczki". Bardzo nie lubię, gdy się klientki mieszają do rozmowy. Widocznie owe panie należały do zagwarantowanych. — Dziś jadłem obiad sam, bo żona cały dzień rozdawała paczki szwajcarskie. Zupa była zimna, a kapusta bez smaku, ale cóż robić... służba społeczna.

Sobota, 8 lutego.

Niespodziewane wyjście z trudności: Kazia w południe przyprowadziła narzeczonego, który jest trochę mechanik, bo był w partyzantce przy karabinach maszynowych. Wbił do zlewu drewniany czop i zapewnia, że już będzie dobrze. — Profesor oświadczył wczoraj, że pójdzie żebrać. Czterdzieści lat pracowałem w gimnazjum — powiada, niech wszyscy widzą, jak mnie traktują. Jego żona w rozpacz, mówi, że tego nie przeżyje. — Dzisiaj od rana wpadały do sklepu dzieci i proponowały mi kupno czekolady, kakao i tłuszczu. Kupiłem dwie paczki. Także na ulicy sprzedawano to na każdym rogu. Skąd się to wzięło? Myślałem, że żona się ucieszy z okazyjnego kupna, tymczasem zrobiła mi straszną scenę, poznała paczki, które wczoraj rozdawała dzieciom. Objaśniają bez ogródek, że ojciec kazał je sprzedać, bo potrzebuje na wódkę. — Wieczorem niespodziewana wizyta montera. Przyniósł mi perski dywan z prośbą o przechowanie. Okazuje się, że milicja ma przeprowadzić rewizje u wszystkich uczestników kursu. Podobno przyszedł taki telegram z Kładzka: „Uczestnicy kursu wywieźli całe urządzenie, które już było obiecane dla pewnego dygnitarza".

Niedziela, 9 lutego.

Nareszcie można odpocząć, nie pamiętam tak męczącego tygodnia, jak ostatni. Przed kościołem opowiadano, że ten pan nie dostał wcale spodni od prezeski, tylko zamienił je u kogoś na podwórzu, a ona dała mu całe. Jeżeli tak jest, to sprawa przedstawia się w innym świetle. — Całe rano obliczanie strat, spowodowanych zalewem mego sklepu. Będzie tego jednak na przeszło 10.000 zł. — Wieczorem żona rozwinęła dywan, bardzo się jej podobał. — Na ulicy zauważyliśmy dużo pijaków. Prezes związku abstynentów powiedział mi, że to skutek tej szwajcarskiej czekolady, że jest przekonany, że dzieci dostały tylko 50% paczek, a że resztę sprzedano na wódkę i że jeszcze jeden taki transport, a miasto rozpije się zupełnie. Żona, słysząc to, o mało się nie rozpłakała. Od dziś nie będę się kłaniał temu panu.

Poniedziałek, 10 lutego.

Ledwie otwarłem sklep, gdy przybiegła Cinciałowa lamentując, że brudna woda cofa się na górę i wylewa do jej mieszkania. Chciała koniecznie oglądać nasz zlew, ale nie dopuściłem jej, bo by zobaczyła ten czopek. — Kazia przyniosła tematy wykładów. Mamy się starać, aby je ktoś opracował dla jej narzeczonego. Tytuły niektórych są rzeczywiście trudne, np. „Od myszy Popiela do myszy na ziemiach zachodnich". — Żona od wczoraj opowiada wciąż o dywanach i powiada, że mam również pojechać na kurs.

Wtorek, 11 lutego.

Dzisiaj ostateczna katastrofa. Odwilż, pękły rury, całe I i II piętro zalane, woda leje się kaskadą po schodach. Gdyby nie zamknięto dostępu wody, to nie wiem, co by się stało z piwnicą. — Nasz profesor spotkał się w sklepie z narzeczonym Kazi. Zrazu nie chciał o niczym słyszeć. Ale potem rozgadali się i zaczął żalić się na swoje niepowodzenia z UNRR'a. Wtedy ten młodzieniec zapewnił go, że wszystko dostanie, byleby mu to napisał. Nie wiedziałem, że ma takie wpływy. To nakłoniło staruszka i wziął tematy do siebie.

Środa, 12 lutego.

Dziś znowu 12 stopni mrozu, woda zamarzła na schodach, z wodospadu zrobiły się stalaktyty i sople, mieniące się różnymi kolorami, zależnie od pochodzenia wody. Ludzie przychodzą to oglądać. Fotograf z naprzeciwka zrobił zdjęcie przy magnezji. Powiada, że pośle to do „Przekroju", jako „Tajemnice polskich pieczar". — Przed samym obiadem wpadła profesorowa pokazać nowiuteńkie ubranie, które dostał jej mąż. Podobno wprowadzono staruszka do magazynu poza ogonkiem, chociaż nie był wcale zagwarantowany.

Czwartek, 13 lutego.

Kazia opowiadała o wczorajszym wykładzie narzeczonego, na temat: „Antynomia między wydźwiękiem społecznym Żeńców Szymonowicza, a klimatem psychicznym epoki Wazów". Podobno nikt nie rozumiał ani słowa, ale wszyscy byli zachwyceni i powiadali, że takiego wykładu w naszym mieście jeszcze nie było. Bo też profesor przygotował ten pierwszy odczyt nadzwyczaj starannie i szybko. — A teraz najważniejsza wiadomość: będę miał dywan! Zapisałem się na zjazd Inteligencji Dynamicznej. Jutro wyjeżdżamy do Legnicy. I ja nauczę się rozwijać wachlarz, wzbudzać wydźwięk, a może nawet rzutować w przyszłość!

Władysław Drop



Wkrótce na ekranach naszych pojawi się jeden z najświetniejszych filmów radzieckich p. t. „Admirał Nachimow". Jest to historia bohaterskiego admirała Pawła Nachimowa, który podczas Wojny Krymskiej zniszczył w 1853 r. flotę turecką pod Sinope, a potem kierował energicznie obroną portu i twierdzy sebastopolskiej

© digitalizacja: mbc.malopolska.pl

ROZMAITOŚCI



„WYĆ ALBO NIE WYĆ?“

Sprawa opery, bo o niej na tym miejscu nieoczekiwanie będę pisał, jest dość ważna, by zająć się nią nie tylko od strony czysto muzycznej. Jest podstawowa dla rozwoju kultury muzycznej, która jest częścią ogólnej kultury narodu, a o podniesienie kultury naszego zwulgaryzowanego przez wojnę społeczeństwa musimy starać się jak najintensywniej, jeśli chcemy, by Polska utrzymała się na odpowiednim kulturalnym poziomie.

Opera jest połączeniem dramatu, muzyki i tańca i dlatego jest gatunkiem muzycznym najłatwiej strawnym dla niewyrobionych melomanów. Poprzez nią tylko można doprowadzić masy do słuchania muzyki kameralnej i symfonicznej, i dlatego operę należy kultywować, a raczej — w naszych warunkach — i ją także odbudować. Nigdy nie mieliśmy zbyt dużo dobrych śpiewaków, wojna ilość ich dodatkowo zmniejszyła. Posiadamy dziś dwa zespoły operowe z prawdziwego zdarzenia: poznański, gdzie zgromadzeni są wybitni soliści ze starszego pokolenia śpiewaczego (m. in. Dudicz-Latoszewska, Zawadzka, Woliński, Urbanowicz) i śląski, który skupił co było najzdolniejszego w młodszym pokoleniu (m. in. Calma, Kostrzewska, Lachetówna, Czepielówna, Finze, Arno, Paciejewski, Adamczewski, Majak). Poza tymi dwoma zespołami możnaby może jeszcze zmontować z narybku śpiewaczego dobry trzeci, w Warszawie lub w Krakowie, jeśli ten nie dogada się projektowanej spółki z Operą Śląską w Bytomiu. Ale to wszystko. Na więcej chwilowo nie możemy sobie pozwolić, zgodnie z przysłowiem, że „z próżnego i Salomon nie zaśpiewa“.

Wydawało by się więc na zdrowy rozum, iż należało by — póki co — ograniczyć się do popierania tych dwóch, czy trzech teatrów, przekształcić je ewentualnie w teatry objazdowe, a resztę wysiłku organizacyjnego i finansowego włożyć w szkolenie przyszłych kadr śpiewaczych. Postępowaliśmy wszakże dotychczas zgoła inaczej, bowiem może nam brakować śpiewaków, orkiestr i gmachów operowych, ale nie zabraknie nam nigdy fałszywych ambicji i megalomanii. Więc poza wspomnianymi wyżej, montowano na przestrzeni ubiegłych dwóch lat i inne zespoły — usprawiedliwiające tytuł niniejszego felietonu. Powstawały drogą protekcji i bocznych chodów różnych przerastałych w ambicjach ludzi, pragnących za wszelką cenę zdobyć tytuł „dyrektora Opery“, choćby to miała być jakaś Opera w Kaczym Dole, deprawująca smak muzyczny słuchaczów, jeśli nie zniechęcająca ich w ogóle do muzyki. — Bywało i bywa gorzej. Pewien krańcowo nieudolny kierownik prowincjonalnej placówki muzycznej, usunięty z niej ostatnio wspólnym wysiłkiem miejscowych muzyków, otrzymał natychmiast... dyrekturę analogicznej placówki w stolicy!

Nie mam miejsca, ani kompetencji na projektowanie jakichś szczegółowych planów uzdrowienia stosunków w tej dziedzinie. Wiem jednak, że właśnie teraz decydują się sprawy przyszłego sezonu teatralnego, a więc i operowego w kraju i chciałbym, by decydujący o tym ludzie wiedzieli, że obserwujemy ich manewry taktyczne. Jesteśmy pełni dobrej woli, doceniamy trudności organizatorów życia muzycznego, wiemy, że projektuje się szereg posunięć reorganizacyjnych słusznych, jak np. utworzenie studium operowego dla kształcenia młodzieży śpiewaczej, przy Operze w Poznaniu. Dlatego przed zbliżającym się otwarciem nowego sezonu nie chcemy nikomu bruździć w pracy. Jeśli jednak okaże się że i ten przyszły sezon operowy nie zostanie zorganizowany zgodnie ze zdrowym sensem i potrzebami naszej kultury muzycznej, to wrócimy do niniejszego tematu. Zaczniemy go omawiać obszerniej, wyraźniej i ostrzej.

J. W-ff



(„True Magazine“)

— Dziękuję, panie doktorze! Obejdę się bez okularów.

...SWING HIGH SWING LOW...

Polski JAZZ-Club, o którym pisaliśmy w „Przekroju“, rozwija w Warszawie gorączkową działalność. Niedawno odbyła sę w sali Polskiej YMCA pierwsza w Polsce, publiczna JAM-Session, czyli koncert jazzowej muzyki improwizowanej. Pozbierani z najrozmaitszych zespołów soliści wyżywali się jazzowo w fantastycznych improwizacjach, publiczność szalała, wszyscy obecni na scenie zachowywali się jak w prywatnej łazience, wszyscy na widowni tupali w rytm „boogie-



woogie“, sala była wypełniona po brzegi, tłumy odeszły od kasy. „Express Wieczorny“ pisał o tej imprezie: „JAM-Session nie ma nic wspólnego z marmeladą“, a cała sprawa miała charakter wybitnie międzynarodowy, gdyż oprócz Polaków przybyli na zew warszawskich miłośników jazzu: angielska śpiewaczka i czeski saksofonista. Jednym słowem sukces synkopowanej muzyki!

(l. t.)

P. S.: Jak nas informują, nowym Prezesem Polskiego JAZZ-Clubu został świeżo obrany wykwintny współpracownik „Przekroju“, red. Leopold Tyrmand.

SZMERY WYBRZEŻA

Na terenie Wybrzeża — szczególnie zdala od większych miast — grasuje cała masa tzw. „objazdowych zespołów teatralnych“, których głównym i wyłącznym celem jest wyłudzanie pieniędzy od naiwnej publiczności. Imprezy te, oscylujące między ostatnią szmirą i ordynarnym oszustwem, podszywają się bezprawnie pod nazwę Teatru Województwa Gdańskiego, a swoje afisze reklamowe firmują napisem „Rzeczpospolita Polska“.

Toteż kiedy pewnego dnia do jednego z miasteczek nadmorskich zjechał prawdziwy Teatr Województwa Gdańskiego z Sopotu z przedstawieniem fredrowskiej sztuki „Mąż i żona“ — zniechęcona publiczność w ogóle do teatru nie przyszła.

Zrozpaczony bojkotem, dyr. Gąssowski, zwierzył się ze swego zmartwienia miejscowemu proboszczowi. Zacny kapłan wziął sobie sprawę do serca i nazajutrz zwrócił się do zgromadzonych w kościele parafian z podniosłym przemówieniem. „Cóż wy sobie myślicie tacy owacy — grzmiał z ambony — do różnych cyrków i na niemoralne sztuki to chodzicie, ale jak przyjeżdża prawdziwy teatr z prawdziwie umoralniającym przedstawieniem, to was nie ma? Zaraz marsz po bilety!“

Rezultat kazania był doskonały. Przez dalsze dwa dni pobytu w miasteczku teatr miał bite komplety. Ciekawe tylko, czy swawolny Aleksander Fredro spodziewał się, że najswawolniejsza z jego sztuk doczeka się kiedyś tak świątobliwej reklamy?

M. B.

STOŁECZNE SZMERY

— Bardzo mi się podobało. Niektóre numery znakomite. Rudzki subtelny w swym humorze. Tylko w Krakowie jakoś więcej pokazali, słyszałem, że program był obfitszy... — mówi minister spraw zagranicznych RP, Modzelewski, wychodząc z Teatru Muzycznego w Warszawie, który gości obecnie krakowskie „SIEDEM KOTÓW“.

— Niektóre numery przypominały mi najlepsze czasy „Momusa“ i „Zielonego Balonika“, w których ja sam coś niecoś robiłem. Dekoracje doskonałe — mówi mistrz Kazimierz Lasocki, blisko 80-sięcioletni artysta malarz, jedna z najcharakterystyczniejszych postaci Warszawy.

Wiceminister Kruczkowski spuszcza oczy i uśmiecha się z drugiego rzędu, gdy w skeczu „szekspirowskim“ kłuje ze sceny ostra szpilka pod jego adresem.

Prześliczna pani R. nie spuszczała zachwyconego wzroku z twarzy Ireny Kwiatkowskiej i powtarzała raz po raz:

— Ona jest znakomita! To nowa, wielka „diva“ polskiego kabaretu!...

Wiało ze sceny tym warszawskim kabaretem, najlepszymi tradycjami „Qui pro quo“, kochanej starej budy... Gdy Kwiatkowska śpiewała „Czarną Mańkę“, nieoficjalny hymn stołecznych nadscenek, „warszawskość“ nastroju osiągnęła swój zenit.

A zresztą, co tu dużo mówić... Przecież to wszystko musi być arcy-warszawskie, gdyż robią to warszawiacy. A że przypadkiem robią to w Krakowie, to nie ma najmniejszego znaczenia. I tak na pewno znajdą się z czasem w Warszawie... **Tyr.**

MACHINACJE MENNICZE

Prosimy o uważne przyjrzenie się poniższej reprodukcji banknotu złotowego, który otrzymał przy wypłacie pensji jeden z naszych Czytelników:



Oto jawny dowód, że Rząd i tylko Rząd jest winien dewaluacji pieniądza, skoro zamiast banknotów jednozłotowych, wypuszcza banknoty wartości mniej więcej złoty dwadzieścia! *(Nadesłał: Wł. Michalski)*



(„Liberty“)

TO NIEBEZPIECZNE!

Nie licząc się z rzeczywistością, pewien ob. zamieścił w „Głosie Wielkopolskim“ taki inserat:

Przemysłowiec z warsztatem obuwniczym poszukuje kandydatki na żonę, która ma zdolności do szycia cholewek.

Skoro już Pan dał to ogłoszenie, to niech Pan przynajmniej uważa, żeby nie ożenić się z kandydatką zbyt zdolną. Bo co będzie, jeśli — zamiast cholewek — uszyje Panu buty?

(Nadesłała: G. Taborowa)

AMIDONA

O rewelacyjnym nowym środku, uśmierzającym bóle lepiej niż morfina, donosi „Dziennik Bałtycki“ nr 152:

Niemcy stosowali Amidonę przy amputacjach, a nawet operacjach głowy.

Jak nam donoszą, na Wybrzeżu dokonano ostatnio — stosując Amidonę — cały szereg amputacji głów, dzięki czemu mógł powstać skład korektorów pewnego „Dziennika“.

(Nadesłał: St. Szkodziński)



(„Cosmopolitan“)

— Dlaczego ty nie potrafisz chodzić na smyczy, tak jak inne psy?!

SŁUSZNY ŚRODEK

Jak się dowiadujemy ze „Słowa Polskiego“ nr 187, znaleziono wreszcie dobry środek, by ukrócić nadużycia władzy w kraju:

Jeden z dróżników zatrudnionych przy koszeniu trawy w rowie został pobity przez członka Zarządu Gminnego w Nosocicach. W wyniku tego Powiatowy Zarząd Drogowy wyznaczył każdemu ze swoich pracowników 2 kilometry rowów, celem zbierania paszy.

Bardzo słusznie! Jeśli bowiem taki gminny członek będzie musiał przejść od dróżnika do dróżnika 2 kilometry, to — włączając w to zmęczenie biciem — nie będzie w stanie tłuc dziennie więcej, niż 4—5 dróżników. *(Nadesłał: „Wrocław“)*



ma zaszczyt przedstawić

„DOBRE RADY BABUNI“

W roli Babuni

(pierwszy raz po powrocie z Paryża!)

HERMENEGILDA KOCIUBIŃSKA

Opracowanie muzyczne: Filharmonia w Gogolinie

Asystent reżysera: OSIOŁEK PORFIRION

•

TAK SIĘ ZACZYNA I NATYCHMIAST SIĘ KOŃCZY:

Babunia:

(w oknie, na 8-mym piętrze pewnego domu w Gogolinie)

•

Pamiętajcie więc, wnuczęta & prawnuczęta, że nie należy wychylać się przez okno, ponieważ jakkolwiek okkupacja przyzwyczaiła nas do różnego typu niebezpieczeństw, to jednak w dalszym ciągu nie należy sobie żadnego typu niebezpieczeństwa lekkomyślnie lekkoważyć. Skończyłam. Czy ma kto jakieś zapytania?

•

(Szmer w rodzinie, brak decyzji interpelacyjnej, tymczasem Babunia (Hermenegilda Kociubińska) wychyla się niefortunnie i wypada przez okno, żeby via Ziemia powędrować do Nieba)

•

Filharmonia w Gogolinie: (blacha)

KTO SIĘ W OPIEKĘ PODDA PANU SWEEMU...

Kurtyna

K. I. Gałczyński

Z ostatniej chwili (telefonem):

PLAN MARSHALLA.

Anglia pomaga, USA pomaga —
Niemcom bynajmniej nie jest zbyt źle...
Stare przysłowie, lecz w nowej szacie:
Sprytny wilkołak — dwie matki ssie!

B. B.